

WOLUMIN 2

GRUDZIEŃ 2023

ODCIECIE

INSPIROWANE HISTORIĄ KLUBU MŁODYCH EXODUS



Zdjęcie: BOGUSŁAWA CHWIERUT

Exodus '23 – suma zdarzeń

Konkursowy poplon – część pierwsza
Więcej nagród? – niech się ziści

**Salonik poezji i prozy:
Bogusława Chwierut**

WOLUMIN 2

GRUDZIEŃ 2023

ODCIEŃIE

INSPIROWANE HISTORIĄ KLUBU MŁODYCH EXODUS

Napisz do nas!

*Przyślij swe próby
literackie!*

*Redaguj „Odcienie”
z nami!*

s.bezlimitu@gmail.com

ODCIENIE

Redaktor wydania:
Miroslaw Siemiński

Współpraca:
Bożena Krzempek, Jan Picheta
Barbara Siemińska i Joanna Sosna

Oddano do druku 28 grudnia 2023 roku

Wydawca:

STOWARZYSZENIE
BEZ LIMITU

Stowarzyszenie „Bez Limitu”
ul. Bielska 16, 43-520 Chybie
e-mail: s.bezlimitu@gmail.com

Skład komputerowy:

Wydawnictwo B63, Mnich, ul. Kopernika 5, 43-520 Chybie
e-mail: nowa.formacja@prasa-lokalna.pl

ISBN: 978-83-967217-8-5

W numerze:

KONKURS POETYCKI EXODUS '23

- Werdykt 11
- Exodus '23 13

LAURY...

- Bogdan Nowicki 21
- Artur Boratczuk 23
- Ewelina Kuśka 27
- Milena Gójny-Zbierowska 29
- Maciej Gardziejewski 31
- Janusz Pyziński 33

Bogdan Nowicki

- Pejzażysta 35
- Meteoropata 36
- Wniebowzięta 37

Artur Boratczuk

- Domek 38
- Anamneza 39
- Spotkania 40

Ewelina Kuśka

- Sny 42
- Żylaki 43
- Czosnek 44

Milena Gójny-Zbierowska

- Staż na psychiatrii 45
- Poranna zmiana na oddziale 47
- Terapia par 48

Maciej Gardziejewski

- Dąb 49
- Niedziela 50
- Ulga 51

Janusz Pyziński

- Kody 52
- Arka 54
- Rzeczy zagubione 56

PO 33 LATACH...

- Więcej nagród! 61

A GDYBY WERDYKT BYŁ INNY?

Barbara Waldowska

- Smutna ogrodniczka 81
- Cztery piętra, człowieku 83
- Nie dla mnie dom pracy twórczej,
nie dla mnie 85

Jakub Wasilewski

- Każda myśl o tobie jest jak blask
we mgle 88

Marta Bocek

- Małżeństwo 89
- Stodoła 90
- Okna 91

Tadeusz Knyziak

- Wraz z tobą odeszły książki 92
- Dziecko pyta 93
- Ścieżki Hadesu Wyżnego 94

Agnieszka Rautman-Szczepańska

- Czas 97
- Teatr 98
- Kołowrotek 99

Maciej Henryk Modzelewski

- Powrót 100
- Ptaki 101
- Budzenie się 102

Julia Zmarzlik

- Cykl ciążowy 105
- Podołek pełen popiołu 106
- *** (Długa szrama) 107

6 ODCIENIE

Janusz Koryl		Agnieszka Stefanek	
– Okoliczności	108	– Za rękę	146
– Przeprowadzka	109	– Proza	148
– Rehabilitacja	110	– Kobieta	149
Piotr Zemanek		Luiza Wilczyńska	
– Selekcja negatywna	111	– Ikar	150
– Osobliwości	112	– Miasteczko	151
Wiktor Mazurkiewicz		– Pielgrzym	152
– Chleb powszedni	114	SALONIK POEZJI I PROZY	
– Taki starzec Zosima	115	Bogusława Chwierut	
– Sierpniowy epizod z akcentem ..	116	Fotografia	158
Weronika Biela		Biogram	159
– Manifest przedednia	117	– *** (w stronę słońca)	160
– Weronika	119	– *** (błyszczą rosa jak korale	
– Nasz radosny spleen	121	górskiego potoku)	160
Marek Otwinowski		– *** (słońce przysiadło	
– Wypas	123	na jedynym drzewie)	160
– Przedział	124	– *** (w przyrodzie wszystko	
– Ogród	125	płynię)	160
Jadwiga Gała		– *** (jak motyl w ogrodzie)	161
– Licencja	126	– *** (faluje we mnie)	161
– Ja Urojona	127	– *** (liście kruszone przez wiatr)	161
– Nieśmiałość drzew	129	– *** (na drzewie)	161
Donata Witkowska-Kowal		– *** (parę słów czeka)	162
– Mariupol	131	– *** (w sieci mnożą się)	162
Leszek Wójcik		– *** (w umyśle)	162
– Rodzina	133	– *** (spoglądam na drzwi)	163
– Lampedusa	134	– *** (nić)	163
– Drugi brzeg	135	– *** (każdy dzień)	163
Małgorzata Jaworska		– Przedświąteczne	164
– Zezwierzęcenie	136	– *** (W murach szpitala)	166
– Uczłowieczenie	139	– Tylko księżyc	168
– Dehumanizacja	142	– Letni dzień	169
		– Barwy	170
		– Libiąż – moje miasto	171
		– W miodowym gaju	172
		– Zasmucone powieki	173
		– Afrodyta	
		(fragment prozy „Sezon burz”) .	174

A może... „Strefa Exodus”?

Gdy przed wielu laty, w 1979 roku, powstał pomysł zainicjowania Klubu Młodych, nikt nie myślał o literaturze. Dopiero potem świat zaczął kręcić się wokół wierszy, a po wizycie Mirosława Bochenka w 1980 roku wszystko zaczęło się wyjaśniać. W 1983 roku zorganizowano pierwszy konkurs poetycki, skutkiem czego było powołanie do życia Amatorskiej Grupy Literackiej Exodus. W sumie przeprowadzono osiem konkursów, a literaci w Chybiu przetrwali do 1991 roku.

Przetrwali... To dobre określenie, bo nie zdarzyło się nigdy, aby młodzi poeci i prozaicy mogli odczuć, że ich trwanie ma jakiegokolwiek znaczenie dla tak zwanego otoczenia. I tak wówczas, jak i dziś, wszystko trzeba „wyrwać” własnymi rękoma, aby – właśnie – przetrwać. Dekady, które mijają jedna za drugą, wyraźnie wskazują, że to się już... nie zmieni. Że adepci pióra i ich zapal zawsze przegra z przysłowiową dziurą w drodze. Świat wokół nas – coraz bardziej nowoczesny i naszpikowany zabawkami elektroniki – upada w tempie zastraszającym.

Na tym ugorze podejmujemy próbę posiania nadziei. Oto „Odciecie”, wokół których być może uda się skonstruować coś niebanalnego, a pożytecznego zarazem. Oto konkurs, który w 2023 roku zaistniał nie tylko obfitością uczestników, ale także naprawdę wysokim poziomem. A teraz rzecz w tym, żeby wykonać krok następny.

Jeśliby wokół „Odcieni” udało się zebrać grupę przyjaciół i jeśli zechcieliby oni mieć znaczący wpływ na redakcję tego wydawnictwa, byłby to krok milowy. Taka „Strefa Exodus”, łącząca ludzi z różnych zakątków kraju, a może nie tylko. Taka osobliwość bez statutów, regulaminów, składek i tym podobnych obwarowań. To może spróbujemy?

Wszystkie barwy „Odcieni” są do Waszej dyspozycji.

Na razie jest tylko jedna, nieustannie ta sama przeszkoda. Otóż wszystko, co do tej pory udało się osiągnąć, powstało z siły dobrej woli. Nie wspiera nas żadna organizacja, ani żadna struktura państwowa czy samorządowa. Jesteśmy sami na drodze pokonywania coraz wyższych kosztów. Ale ma to swój urok, gdyż nie zależyśmy od nikogo. Powstaliśmy w niewielkim Chybiu, ale to także ma znaczenie drugorzędne. Jeśli bowiem myślimy o „Strefie Exodus”, to każde miejsce jest dobre – geograficzne i eteryczne zarazem.

Piszcie więc do nas, zgadzajcie się bądź nie z naszym pomysłem, kształtujcie go i twórzcie. Może w ten sposób wspólnie sporządzimy receptę na najbliższy czas.

MIROSŁAW SIEMIŃSKI



Jeśli zechcesz do nas dołączyć – napisz.

Nie musisz być poetą czy prozaikiem.
Wystarczy, że chcesz tworzyć z nami tę „strefę”.

Czekamy:
s.bezlimitu@gmail.com

Konkurs Poetycki Exodus '23



FUNDACJA

Partnerem konkursu
była Fundacja PZU

Werdykt

Jury Konkursu Poetyckiego Exodus '23, zorganizowanego przez Stowarzyszenie „Bez Limitu”, w składzie: **Tomasz Jastrun** – przewodniczący, **Jan Picheta** i **Juliusz Wątroba**, po zapoznaniu się z 432 pracami autorów postanowiło przyznać trzy nagrody.

Pierwszą nagrodę w wysokości 4000 złotych (brutto), **Bogdanowi Nowickiemu** ze Świętochłowic (godło: Turkus) za zestaw wierszy „Pejzażysta”, „Meteoropata” i „Wniebowzięta”.

Drugą nagrodę w wysokości 2000 złotych **Arturowi Boratczukowi** z Chwarszczan w gminie Boleszkowice (godło: Carnica) za zestaw wierszy „Domek”, „Anamneza” i „Spotkania”.

Trzecią nagrodę w wysokości 1000 złotych **Ewelinie Kuśce** z Jastrzębia-Zdroju (godło: Groch) za zestaw wierszy „Sny”, „Żyłaki” i „Czosnek”.

Jury przyznało również trzy równorzędne wyróżnienia w wysokości 500 złotych każde:

✧ **Milenie Gojny-Zbierowskiej** z Chorzowa (godło: Psychoterapeuta) za zestaw wierszy „Staż na psychiatrii”, „Terapia par” i „Poranna zmiana na oddziale”,

✧ **Maciejowi Gardziejewskiemu** z Warszawy (godło: Szczypta szafranu) za zestaw wierszy „Dąb”, „Niedziela” i „Ulga”,

✧ **Januszowi Pyzińskiemu** z Dębicy (godło: Sól ziemi) za zestaw wierszy „Kod”, „Arka” i „Rzeczy zagubione”.

Jury ocenia poziom konkursu jako wysoki. Jurorzy są zaskoczeniu dużą ilością nadesłanych na konkurs prac, a szczególnie dobrych wierszy i mają nadzieję, że konkurs będzie kontynuowany, a także że w przyszłych edycjach zostanie uhonorowanych dużo więcej artystów pióra.

Exodus '23

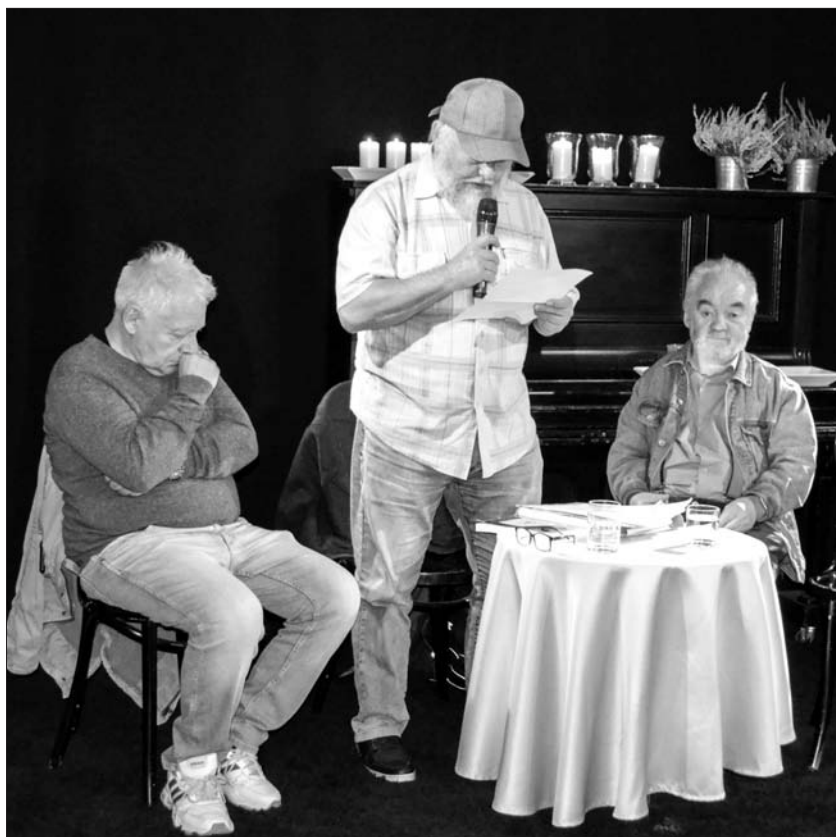
Po 33 latach przerwy, w Chybiu znowu zagościła poezja spod znaku Exodusu. Wyszła spod pióra literatów z całego kraju. Jak zanotowało po obradach jury, poziom prac konkursowych był tak wysoki, że aż kilkadziesiąt zestawów wierszy zasługiwało na nagrodę. Obrady były zatem wyjątkowo burzliwe...

Jak obrady jury Konkursu Poetyckiego Exodus '23 przebiegały w budynku redakcji „Nowej Formacji” w Mniechu, tak jego finał – zakończony uroczystym odczytaniem werdyktu – miał miejsce w Gminnym Ośrodku Kultury w Chybiu, w tzw. „Klubie pod Amfiteatrem”.

Sprawca zamieszania

– *Sprowadziła nas tutaj poezja, co jest wspaniałe. Zapraszam Mirosława Siemińskiego, sprawcę całego zamieszania* – rozpoczęła 26 października poetycki wieczór **Anna Zachurzok**, bo dawny

przewodniczący Klubu Młodych Exodus zamarzył sobie, żeby powrócić do zapoczątkowanej przez niego przed laty tradycji organizowania konkursów, tyle że już pod innym szyldem. A że nie należy do osób, które łamią swoje postanowienia, zrealizował wszystko na sto procent, żeby nie powiedzieć przekornie: dwieście. Stało się bowiem tak, że na pierwszy konkurs Exodusu w 1983 roku napłynęło 191 zestawów wierszy, a po tej swoistej reaktywacji ta liczba się podwoiła.



Jurorzy konkursu w salce Gminnego Ośrodka Kultury w Chybiu. Od lewej: Tomasz Jastrun oraz Jan Picheta i Juliusz Wątroba

– Spotykamy się w dość niezwykłych okolicznościach, ponieważ spróbowaliśmy reaktywować przedsięwzięcie, którego pierwsza edycja odbyła się równie 40 lat temu – spostrzegł M. Siemiński. – Historia kołem się toczy. Gdzieś wszystko się powtarza, ale nie do końca. W nazwie konkursu poetyckiego umieściliśmy słowo „Exodus”. To nie jest przypadek, ponieważ od wielu lat czerpiemy inspirację z tego, co się wtedy działo, z grupy literackiej, która wtedy istniała, z warsztatów literackich i całej serii różnych zdarzeń.

Gdy w czerwcu tego roku konkurs został ogłoszony przez Stowarzyszenie „Bez Limitu” – niejako kontynuatora Klubu Młodych Exodus – nikt się nie spodziewał, że odpowie na niego taka ilość osób. – Myśleliśmy, że będziemy w siódmym niebie, jeśli zareaguje na to 150-200 autorów. Nie wiem, w którym niebie teraz jesteśmy, bo zgłoszenia przyszły 432. I zrobił się z tego – jak stwierdzili jurorzy – dość widowiskowy, poważny konkurs. Nie chcemy jednak na tym konkursie skończyć. Nie jest tak, że jurorzy ogłaszają werdykt, a my na tym wydarzeniu powiesimy kłódkę i koniec. Z tego konkursu chcielibyśmy czerpać energię i zamienić ją w coś realnego, na przykład w „wirtualną” grupę przyjaciół. Zobaczymy, jak to wszystko się poukłada i rozwinie – zauważył ten, który pchnął wydawnictwo na stare tory, bo jak już wspomniał, historia lubi się powtarzać. Partnerem konkursu była Fundacja PZU, bo czym byłby sam pomysł bez zaplecza finansowego.

Skład doskonały

Jury, które tworzyli przewodniczący **Tomasz Jastrun** oraz **Jan Picheta** i **Juliusz Wątroba** sugerowało, że wskazane byłoby, aby w przyszłym roku poszerzyć grono wyróżnionych.

„Jury ocenia poziom konkursu jako bardzo wysoki. Jurorzy są zaskoczeni dużą ilością nadesłanych na konkurs prac, a szczególnie dobrych wierszy i mają nadzieję, że konkurs będzie kontynu-

owany, a także, że w przyszłych edycjach zostanie uhonorowanych dużo więcej artystów pióra” – napisano w protokole.

– *Inny skład jury, inny mógłby być werdykt, choć ten skład jest doskonały* – mówił M. Siemiński, przedstawiając krytyków literackich i poetów zarazem oraz witając gminne władze, bo spotkanie zaszczylił wójt gminy Chybie **Janusz Żydek** i przewodniczący Rady Gminy Chybie **Piotr Gmuzdek**. – *Z sąsiedniej gminy przyjechała do nas burmistrz Strumienia Anna Grygierek* – dodał, bo wydarzenie miało przecież ogólnopolski charakter. Stąd i goście z Ustronia, i z Czechowic-Dziedzic.

Przewodniczący jury nie ukrywał, że wszyscy mieli problem z wyłonieniem najlepszych prac. – *Bo to w końcu nie jest sport i kryteria są nieoczywiste. To wszystko jest na intuicję. Nie ma definicji poezji* – spostrzegł T. Jastrun. – *Jakoś udało nam się – mimo małych konfliktów – te prace uszeregować.*

Protokół odczytał J. Picheta. Zgodnie z nim pierwszą nagrodę w wysokości 4000 zł przyznano **Bogdanowi Nowickiemu** ze Świętochłowic, drugą nagrodę w wysokości 2000 zł **Arturowi Boratczukowi** z Chwarszczan, a trzecią w wysokości 1000 zł **Ewelinie Kuśce** z Jastrzębia-Zdroju. Trzy równorzędne wyróżnienia w wysokości 500 zł otrzymali: **Milena Gojny-Zbierowska** z Chorzowa, **Maciej Gardziejewski** z Warszawy i **Janusz Pyziński** z Dębicy. Po jednym wierszu z każdego nagrodzonego zestawu odczytała była prezenterka telewizyjna **Beata Sabbath** z Cieszyna.

To nie wyścigi

– *Jak wiadomo, poezja nie jest wyścigiem chartów afgańskich czy koni na Służewcu. Trudno ocenić jednoznacznie, dlaczego ten utwór jest lepszy od innego. Mieliśmy problem między innymi dlatego, że trudno nam się było zdecydować, jak ustalić nagrodę pierwszą, drugą, trzecią. Właściwie to kolejność mogła być odwrotna. Może*

ktoś z wyróżnionych także zasługiwał na tę nagrodę – zastanawiał się J. Picheta. – Myślę, że rzeczywiście, jeśli nie czterdzieści, to sześćdziesiąt nazwisk powinno się zmieścić na pierwszym miejscu – upierał się, cytując fragmenty tekstów osób zasługujących jego zdaniem na trofea.

– Było to karkołomne zajęcie z jednej strony, a z drugiej niezmiernie ciekawe, bo człowiek się zanurzał w inne światy, zachwycał się nimi, czasem się buntował. Prywatnie miałem wędrowkę w te czterdzieści lat, które są za nami. Miałem to szczęście, że trzy razy zostałem wyróżniony w konkursach Exodusu – mówił z kolei J. Wątroba, autor 56 książek, nie tylko tomików poezji. – Natomiast jeśli chodzi o ocenę prac, to tak, jakby oceniać w tej samej konkurencji dwubój, skok wzwyż i skok o tyczce. Jak to porównać? To rzeczywiście nie jest łatwa sprawa. Czasem w pokoju obrad było tak jak na sali sejmowej – uśmiechał się juror. – Dzisiaj mamy święto poezji. W tej chwili jedno się zakończy, a rozpocznie się to prawdziwe. Zresztą, nie uprzedzajmy faktów, niech potoczą się dalej same...

Tak zapowiedział tajemniczo wieczór autorski kolegi po piórze T. Jastruna. – *Postaram się być interesujący. Będę mówił więcej prozą, niż poezją* – przekonywał ten nie tylko poeta, ale prozaik, eseista, felietonista, krytyk literacki, współpracownik paryskiej „Kultury” i wielu innych czasopism, a także dziennikarz radiowy. Z pewnością dorównujący znanym rodzicom, czyli poetom Mieczysławowi Jastrunowi i Mieczysławie Buczkównie, która urodziła się w nieodległej od Chybia Białej, a jej ojciec był czechowickim legionistą.

Do świata poezji

– Przed nami niezwykle spotkanie. Spróbujemy otworzyć drzwi do świata innego, świata wyobraźni, świata wrażliwości – zachęcał M. Siemiński.

Na początek bohater wieczoru powiedział kilka słów o sobie. – *Chociaż ja ciągle o sobie piszę* – nie zaprzeczał, bo poezja jest czym innym, jak obnażaniem własnego wnętrza. Spotkanie było tak zajmujące, że ani się obejrzeć, a minęła prawie godzina.

– *Dziękujemy panu Tomaszowi za to, że przeniósł nas w świat poezji. Powiem szczerze, że to było fajne doświadczenie* – nie ukrywał po spotkaniu J. Żydek. – *Nigdy dotąd jako wójt nie występowałem po żadnym poecie, więc tym bardziej jest mi miło. Dziękuję za zwie-
rzenia na temat wierszy. Też nie wszystkie rozumiem, ale je czuję. Dziękujemy również za ten wspaniały konkurs. Wszyscy mówią, że dobre to jest stare wino, a okazuje się, że dobre są również stare konkursy. Gratulujemy, że podjęliście się kolejnego cyklicznego wy-
zwania, bo przenosicie nas wszystkich w świat fantazji. Życzymy, żeby tych pomysłów nie brakowało i żeby państwo mogli te konkur-
sy powtarzać* – dodał wójt.

Pierwszy konkurs już za nami. I nie były to bynajmniej pierwsze śliwki robaczywki. Gdy dobre wiatry będą sprzyjać, być może uda się zawiązać coś na kształt korespondencyjnego klubu literackiego. Jednak niewykluczone, że tak jak przed czterdziestoma laty poeci będą mieli okazję spotkać się chociażby przy okazji podsumowania kolejnego konkursu.

BARBARA SIEMIŃSKA

Laury...



■ BOGDAN NOWICKI ■

Bogdan Nowicki

Urodziłem się w Bielszowicach, dzielnicy Rudy Śląskiej, która pomiędzy hałdami oraz dymiącymi kopalniami była oazą zieleni. Więcej, dominowały w niej rustykalne klimaty: orano ziemię, uprawiano warzywa, dbano o sady owocowe, krzaki agrestu, jeżyn i malin. Wchłonałem tę aurę w siebie, stąd moja głęboka wrażliwość na naturę i wiejski pejzaż. Echem odbija się on w mojej twórczości, oczywiście przefiltrowany przez późniejsze doświadczenia egzystencjalne: utratę, odejście bliskich, nieodwracalność losu. Drugim, organicznym filarem mojej twórczości jest krypto dialog z wybitnymi postaciami literatury – do najważniejszych z nich należą: Bruno Schulz, Bolesław Leśmian, Franz Kafka, Samuel Beckett, Emil Cioran, Albert Camus, Juan Rulfo, Jorge Luis Borges, Malcolm Lowry. Ponadto poezja obszaru czeskiego i niemieckojęzycznego. To są źródła mojej inspiracji i początki rudymmentarnych pytań: o tożsamość, sens istnienia, transcendencję, wyrażanie niewyrażalnego, stosunek ja do innych, koegzystencję tego, co ludzkie z naturą. Piszę nie tylko wiersze, ale także prozę, eseje. Publikowałem m.in. w „Twórczości”, „Akcencie”, „Odrze”, „Toposie”, „Śląsku”, „Wyspie”.



■ ARTUR BORATCZUK ■

Artur Boratczuk

Urodziłem się w roku 1972 pod znakiem udomowionego wilka stepowego. Mieszkam w Polsce, ale żyję w tej samej krainie, gdzie leży Macondo, Yoknapatawpha, Combray i Fraudencja. Po maturze w roku 1991, w porywie uczuć patriotycznych wstąpiłem do wyższej szkoły oficerskiej, ale na szczęście wojsko się na mnie szybko poznało i w połowie drugiego semestru pozbyło się kanoniera Boratczuka ze swoich szeregów. Powróciwszy do rodzinnego domu, spędziłem najszcześniejsze lata życia jako bezrobotny w popegeerowskiej wiosce, czytając całymi nocami, przemycając papierosy przez niemiecką granicę, szlajając się po wiejskich dyskotekach i grając całymi dniami w remika z innymi bezrobotnymi z mojej wioski. Tę sielankę brutalnie przerwała w roku 1996 wygrana w konkursie na debiut reporterski ogłoszonym przez lokalny tygodnik „Ziemia Gorzowska”. Przez kilka następnych lat pracowałem jako dziennikarz, ale się opamiętałem i zająłem poszukiwaniem skarbów z wykrywaczem metalu. Kilka małych skarbków istotnie znalazłem, ale ze względu na niezbyt w tej kwestii precyzyjne prawo, nie będę kwestii skarbów rozwijał, zwłaszcza, że w związku z ich szukaniem przeżyłem już przeszukanie domu i kilkuletni korowód sądowy zakończony ostatecznie uniewinnieniem. Okres poszukiwań zaowocował też poradnikiem pod tytułem „Vademecum poszukiwacza skarbów”, który ukazał się w Polsce, a także w tłumaczeniu na rosyjski i na tamtejszym rynku stał się bestsellerem w swojej kategorii, miał dwa wydania, ale z płaceniem honorariów u Rosjan nietęgo. Dlatego nie życzę im najlepiej.

Prowadziłem też restaurację, handlowałem starymi mapami i rycinami, a także zajmowałem się pszczelarstwem. Obecnie jestem właścicielem małej firemki produkującej ule dla pszczół.

Zawsze uważałem się za prozaika z krwi i kości. Pisywałem opowiadania, które zdobyły kilka nagród i wyróżnień na konkursach literackich. Wydałem własnym sumptem dwa e-booki – jeden z opowiadaniem, drugi z minipowieścią pt. „Wedle reguły kreacji”. W 2020 roku ukazała się zaś na papierze, nakładem wydawnictwa JanKa z Pruszkowa, moja debiutancka powieść pod tytułem „Wskresina”.

15 lutego 2023 roku wcieliłem w życie decyzję, z którą nosiłem się od dawna, lecz zawsze odkładałem – przestałem jeść mięso. Skutkiem ubocznym tej diety stały się wiersze. Poezją nigdy się nie interesowałem, nie czytałem jej, ba, ze wstydem przyznaję, że jej nawet nie lubiłem. A tu kilka miesięcy temu zaczęła ze mnie wpływać jak pot. W tydzień chyba ze trzydzieści wierszy, jakieś wariactwo, nie nadążałem z zapisywaniem. Przerywałem pracę przy ulach, budziłem się w nocy, zatrzymywałem samochód na poboczu. Oczywiście, większość tego pisania, nawet dla tak pozbawionego poetyckiego wyrobienia osobnika jak ja, wydała się od razu beznadziejna i została skasowana, ale kilka wierszy mi się spodobało i aby rozpoznać sprawę bojem rozesłałem je po różnych konkursach. Po kilku tygodniach zostałem powiadomiony o wyróżnieniu drukiem w 9. konkursie imienia Zygmunta Krukowskiego w Nowej Rudzie. To mi dodało wiary w siebie i zacząłem przestawiać swój umysł na poetyckie tory. Potem przyszło jeszcze kilkanaście laureatów, między innymi:

III miejsce w 54. konkursie im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej w Świdwinie, III miejsce w 44. konkursie im. Haliny Poświatowskiej w Częstochowie, wyróżnienia w: 13. konkursie im. Stanisława Czernika w Ostrzeszowie, 6. konkursie „Bez-Kresy” w Cieszanowie, w 25. konkursie im. Władysława Broniewskiego „O liść dębu” w Płocku.

Bardzo to miłe, ale najpiękniejsze w przygodzie z poezją jest dla mnie to, że w wieku blisko 52 lat mam wrażenie powrotu

do stanu dzieciństwa, odzyskałem umiejętność dziwienia się, zachwytu światem, poczucie, że stoję przed wielką tajemnicą.

Moje poezjowanie zbiega się z odejściem od paradygmatu materialistycznego, w którym tkwiłem gdzieś od czternastego roku życia. To dziwne, bo wtedy przeżyłem najbardziej niezwykle doświadczenia mojego życia. Rozmyślając o Bogu jako dzieciaku poczułem, że odrywam się od ciała i wędruję jakimś tunelem ku granicy świata i mogę tę granicę przekroczyć. Ale opanował mnie wtedy paniczny strach i chciałem powrócić. Z wielkim wysiłkiem, ale wróciłem. To doświadczenie było tak silne, że wyparłem je na kilkadziesiąt lat, a żeby nie zaprzątać sobie głowy granicami, przestałem się uważać za osobę uznającą jakąkolwiek formę transcendencji. Teraz ją znów uznaję i z tego, oprócz niejedzenia mięsa, są moje wiersze.



EWELINA KUŚKA

Ewelina Kuśka

Mieszka i pracuje w Jastrzębiu-Zdroju. Laureatka konkursów literackich. Píše również w języku regionalnym – śląskim. Wydała trzy książki gwarowe, na które trzykrotnie otrzymała stypendium miasta Jastrzębie-Zdrój:

- * 2003 r. „Tak tu bywało”,
- * 2005 r. „Skąd się bierom diobły”,
- * 2012 r. „Idom Gody”.

oraz dwa tomiki wierszy – nagrody główne w konkursach poetyckich;

- * 2018 r. „Danuta goni tęczę” – konkurs J. Różewicza w Radomsku,
- * 2022 r. „Dziecko róży” – konkurs „O syfon Scherffera” w Brzegu.

Interesuje się folklorem. Od lat prowadzi zespół regionalny.



■ MILENA GOJNY-ZBIEROWSKA ■

Milena Gojny-Zbierowska

Psycholog, naukowiec, adiunkt na Uniwersytecie Ekonomicznym w Katowicach. Mama trójki dzieci, kontemplatorka ludzkiej natury, ludzkich emocji. Bada sposoby radzenia sobie człowieka z otaczającą rzeczywistością, relacje międzyludzkie, a obserwacje wyraża w publikacjach naukowych i w poezji. Stara się być jak najbliżej człowieka, jego przeżywania, złożoności, w pracy podąża za drugim człowiekiem w jego zmianie i odkrywaniu podświadomych mechanizmów.

Laureatka konkursów poetyckich, m.in. (lata 2022 i 2023): XI Przystanek Norwid, XXVI i XXVII Turniej im. St. Horaka, VI OKP „Bez-KRESY”, III OKL im. W. Dobaczewskiej „Na chwałę słońca”, XXIV Ogólnopolski Turniej Jednego Wiersza w Katowicach, OKL im. Stanisława Nyczaja, VII OKP „Magia Ogrodów”, XXXI Sejmik Poetycki „Pod Diablą Górą”, XXXV OKL im. M. Stryjewskiego, XI OKP im. A. German oraz konkurs literacki miesięcznika „Zwrot”. Nominowana do nagrody głównej konkursu na książkę poetycką wydawnictwa FONT w Poznaniu. Wyróżniona drukiem w IX OKP im. Zygmunta Krukowskiego oraz XXVIII OKP w Chojnicach.

Przepada za operą, narciarstwem biegowym, podróżami i górskimi wędrówkami.



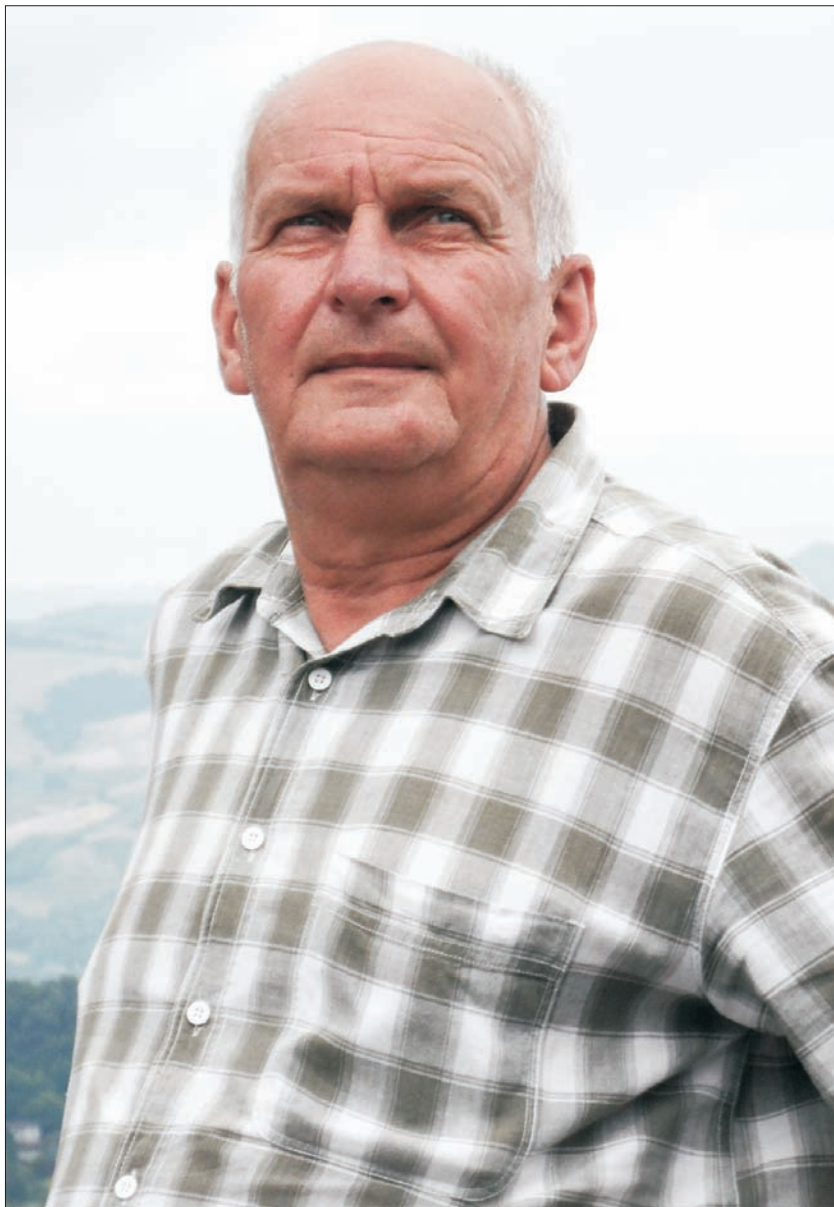
■ MACIEJ GARDZIEJEWSKI ■

Maciej Gardziejewski

Urodził się w 1959 roku w Warszawie. Częściej satyryk (humorysta?) niż poeta liryczny. Laureat parudziesięciu konkursów literackich (i dwóch reklamowych). Dwie książki (selfpublishing) z własną twórczością plus parędziesiąt tomików i tomów pokonkursowych.

Dwa (bezcenne!) tytuły książęce: Książę Łgarzy 2015 i Książę Łgarzy 2018 (nadane przez Ogólnopolski Turniej Małych Form Satyrycznych w Bogatyni, zwany Turniejem Łgarzy, pod przewodnictwem Artura Andrusa).

– *Piszę (od paru lat przede wszystkim dziennik), czytam (za Ingeborg Bachmann: Nie, nie zażywam narkotyków, zażywam książki), często (za często? ale działa) powtarzam w duchu „sustine et abstinence”.*



■ JANUSZ PYZIŃSKI ■

Janusz Pyziński

Urodził się w 1951 roku w Dębicy. Polski poeta związany z gminą Dębica. Od urodzenia mieszka w Podgrodziu pod Dębicą.

Jako poeta zadebiutował w 1984 roku na łamach dębickiego „Echa Załogi” i tarnowskiego „TEMI”. Jego wiersze ukazywały się też w takich czasopismach, jak w „Zielony Sztandar”, „Akant”, „Nowa Wieś”, czy „Chłopska Droga”.

Jest laureatem kilkudziesięciu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich, a także współautorem wielu almanachów i antologii. Dotychczas opublikował osiemnaście zbiorów poezji.

Bogdan Nowicki
Świętochłowice, I nagroda

Pejzażysta

Więc on znowu mieszka gdzie chce, w ceratowym namiocie,
w nie opalonym domku letnim, wałęsa się i całuje poziomki,
jagodę kosą przecina na pół.

Mówią, że Sowa to córka piekarza, a on to tylko staromodny
kawaler, w czerwonej kamizelce, w tużurku z aksamitnym
kołnierzem, który liczy na stawie chruściele.

Podoba mu się także trzcinia z rodziny pokrzewek, bo ma
upierzenie ciemnobraunatne i buduje koszyczek gniazda,
dyndający w trzcinach.

Kto wie, jaka dusza, jaka myśl kłębi się z wysokich ostów
i ostrężyn, kiedy księżyc nosi spiczastą szpadę u swego
ostrego boku.

Spleciona z drabinek sznurowych kobieta w gumiakach
pierze bieliznę w rzece, a on rozbiera się z malarskich
dreszczy, kąpie w cynowej wannie.

Co rano na jego poduszce, zamiast odcisku lnianych
włosów, widać błękitną
lagunę.

Bogdan Nowicki
Świętochłowice, I nagroda

Meteoropata

Czuje mrówkę dźwigającą żdźbło
rosy, która pozostawia syk
rosnącej trawy.

Orzechy spadają jeden przy drugim,
skupiając się w kolanie.

Obłok ukosił kamień. Dżdżysta pora,
pora rozpadu.

Mysz łyżką dźwięczy po talerzu.
Z kudeł ostu powiewają siwe
lichtarze.

Na środku nieba przewrócone
krzesło po Bogu.

Kupcy rozmawiają rękami,
pokrytymi siecią żył.

Gwiazdy gasną obmywane wodą
wszechświata.

Kiedy wiatr szoruje odkupieniem,
każdą cegłę przez pierś przewleka.

Dom schodzi w obrączkę
i kość.

Bogdan Nowicki
Świętochłowice, I nagroda

Wniebowzięta

Ogień przerzuca się z krzesła na krzesło, pęka opoka,
machając gołymi nogami, deszcz siąpi, aby nawilżyć
zwęglone korzenie.

Drżą lampy dawno zgaszone, choć trawy pienią się,
przestępując progi wieczoru.

Niebo pruje rozwłóczenie farby, smug i żyłkowań,
łuków i cętek.

Błysk stłumiony cegły, na podłodze szuranie ryciny
z albumu, pod językiem obrusa igły.

Na parapecie wegetacja, plątanina perzu i powoju,
gęsta i zbita jak wojenny materac.

Szyby nastawiają ucha, żyrandol porasta burą sierścią,
za rogiem ciężarówki wiozą transparenty, włosy,
zęby.

Na pluszowym kamieniu stoją buciki dziecięce – i to
jest wniebowzięcie.

Artur Boratczuk
Chwarszczany, II nagroda

Domek

Z komina domku narysowanego przez dzieci
kredą na asfalcie buchnął biały dym.
W narysowanym oknie zjawiła się stara kobieta
wątła jak bezlistna brzoźka
i żegnała się z przechodniami,
mówiąc, że niedługo umrze.
Umrę i nie wiem, gdzie wtedy będę, mówiła.
Psy chowają w obejściu, mówiła,
a człowieka wyniosą do obcej ziemi.
Wszyscy kiwali rozumnie głowami.
Na wyświechtanej sprzączce od torebki pojawi się śniedź, mówili.
Zetleje biała bluzka.
Ciało stanie się śliskie jak okorowana gałąź.
Skóra skapnie do wąwozu między żebrami.
Piach zasypie oczodoły
i chłodne wody przy płyną rozpuszczają kości.
Tylko pijak dobrotwarzec uklęknął na chodniku.
Domku, bądź dla niej miłosierny, mówił.
Bądź dla niej miłosierny.
Bądź miłosierny.
Bądź.

Artur Boratczuk
Chwarszczany, II nagroda

Anamneza

Jajecznicą na maśle nie pryska jak na smalcu,
a z gliniarzami podczas kontroli drogowej
nie ma co za bardzo dyskutować:
to prawie cała moja pewna wiedza.
Wiem jeszcze, że to co jest dobre dla człowieka,
niekoniecznie jest dobre dla ludzkości;
co sprzyja oku,
niekoniecznie dogadza sieci.
Wiem też, że zmartwychwstał w ciemności.
Długo leżał nie myśląc o niczym,
aż przypomniało mu się, jak w dzieciństwie
zamiatał suche wióry.

Artur Boratczuk
Chwarszczany, II nagroda

Spotkania

Gdzie jestem?

Same pytania.

Nie lubię początków.

Zbłądziwszy pośród lasów w obcej okolicy,

uchyliłem okno, bo noc była duszna.

Zapachniało czarnym bzem, i czeremchą,

i grzybnią randomowych wyobrażeń.

Siąpił deszcz.

Co czuje szyba, gdy umierają na niej krople?

Usłyszałem szum skrzydeł gdzieś w górze. W ciemności.

Co myśli wiatr, spotykając ptaka?

Wtem samochód podskoczył na przyschłym do asfaltu zewłoku

zwierzęcia

i nawigacja powiedziała:

„Cel twojej podróży jest przed tobą”.

Mój umysł stanął na głowie.

Nie spodziewałem się, przyznaję,

nie spodziewałem się takiego piękna.

W aureoli z pogruchotanych sumień,

ze złotymi pierścieniami samobójczych spełnień na cienistych

palcach

stał pośrodku drogi

książę tego świata

i patrzył na mnie jak ojciec.

Powiedział:

„Pozwoliłem drzazdze jątrzyć pod paznokciem.

Suszę z wnętrza przeniosłem na zewnętrzne parzenie.

Pozwoliłem zielonemu nalotowi pokryć nieodwiedzane groby.

Zatarłem imiona tych, których nikt nie chce pamiętać.

Pamięć nie jest ważna.

W nowym języku

nowy znak interpunkcyjny o kształcie delty Nilu

zastąpi wszystko”.

Gotów byłem wysiąść i skłonić się, lecz nawigacja rozkazała:

„Rozjedź go!”

Ewelina Kuśka
Jastrzębie-Zdrój, III nagroda

Sny

nosi w wewnętrznej kieszonce zapiętej
na kryształek dziecięcej wyobraźni.
za dnia nie wypuszcza własnego zdania
z tego małego zagłębienia pod powierzchnią
języka bo wydarzenia i tak dzieją się same.

wieczorem światło z dziurki od klucza
siada na ręce jak świetlik. zamyka małą
jasną brodawkę w dłoniach, będzie nią
ogrzewać kolejny dzień. sny pragną dotyku.
trzeba je podlewać kroplami potu.

układają się wtedy w kształty. można je
formować a nawet dosiadać by móc
podróżować po świecie. rankiem wkłada je
do poszewki – można je będzie wykorzystać
ponownie podczas bezsennych nocy.

Ewelina Kuśka
Jastrzębie-Zdrój, III nagroda

Żylaki

małe robaczki wspinają się po trawie.
nie rozbiegają się żeby po śmierci stać się nawozem.
żeby utworzyła się czarna plamka ze skruszonych
pancerzy. na działce pani babci rosną żylaki.

tylko dziecko może poczuć chlupanie krwi
w przetokach tętniczych bo jest ona niespójna
jak trawa i jest niespokojna jak dziewczynka
wpatrzona w czarne plamki.

ziemia na działce żylaków jest spękana jak
niepamięć matki. zaśliniona przez wujków
podobnych do rękawiczek co pocą dłonie. na tej
ziemi żylaki rosną jak ciasto.

pani babcia przewozi je taczka wraz z innymi
ciężarami. dziewczynka staje się lżejsza. uczy
braciszka jak zatrzymywać się w locie. będą po trochu
ptakami i pończochami uciskowymi by ulżyć żylakom.

Ewelina Kuśka
Jastrzębie-Zdrój, III nagroda

Czosnek

nasz tato – ryba mieszka w morzu nieba.
sadzi tam czosnek. wyrastają z niego kwiaty
gwiazd. czasem otwiera piec i sypie ogniem.
po deszczu czuć w powietrzu posmak czosnku.

wychodzi dopiero z potem żeby nie śmierdziało
w klasie gdy dzieci wyjmują z tornistrów
języki i zahaczają jeden o drugi w przerwie
gdy nie są zajęte czytaniem ze zrozumieniem.

kiedyś jakiś rybak złowi naszego tatę a wtedy
pokój będzie jak akwarium. zasadzimy w nim
skrzek w galaretowatej osłonie żeby odstraszyć
obce dzieci i niepotrzebnych wujków.

tej nocy zaśniemy w miękkich kwiatkach czosnku
i wyjdą z nas żaby i ogień wyjdzie nam z pieca
i spali nam całe dzieciństwo.

Milena Gojny-Zbierowska
Chorzów, wyróżnienie

Staż na psychiatrii

Szpital miał okna, ale były w nich kraty. Na spacery chodziło się grupami,
Każda z dwójką opiekunów. Z sali terapeutycznej widać było podwórko sąsiednich
Kamienic, chłopaki siedzieli tam na betonowych słupach
z wystającymi żerdziami,
Pluli unosząc kurz z ziemi i palili fajki. Czasami mieli piwo.
Zazdrościło się im wolności.

W jadalni były dwie palmy w kątach i pięć paprotek na parapetach.
Anorektyczki
Wylewały do nich zupę gdy pielęgniarka z uschniętym płatem
twarzy na chwilę odwracała
wzrok, robiły to wyćwiczonym ruchem z prędkością cienia.
Jak w kreskówce. Kościste
Chude ręce, imadła do wylewania zupy do doniczek. Handlowały
z bulimiczkami jedzeniem.

Bulimiczki zażerały lęk i samotność i potem to zwracały.
Lęk i samotność wracały.
W termoforach przynosiły do pokoi wrzątek na chińskie zupki,
dojadały do pełnego
brzucha, rozpieranie w żołądku, moment rozkoszy i na zmianę
do klopa oczyścić zbrukane
ciała, zrzucić bagaż wstrętu do samej siebie. Ich często nadużyta
w dzieciństwie cielesność

Pachniała strawionym poczuciem niekochania, kwasem
beznadziei. W szpitalu były
Okna, ale nie dało się z nich wyskoczyć bo były kraty. Można było
przestać jeść albo
Pić albo i jeść i pić. Ale wtedy rura w gardło i na siłę. Żeby umrzeć
trzeba było sprytu.
Można było umrzeć z rozpaczcy ale to wymagało doświadczenia,
nie każdy potrafił.

Milena Gojny-Zbierowska
Chorzów, wyróżnienie

Poranna zmiana na oddziale

Do godziny 16 jestem drzewem. Moje gałęzie łapią wszystkie chore
myśli sinych ludzi. Daję świadectwo uziemienia pokazując
zdziwionym niezdefiniowanym, z i bez rozpoznania. Tym co myślą,
że są na chwilę, a zostaną na zawsze. Oni brzydzą się rodzinną
pełną minerałów.

Do 16 nie mrugam oczami, żeby nie nadać emocjonalnego wyrazu
nie być posądzonym o ocenę czy nietolerancję albo o jakiś
stosunek do
kogoś, z kimś. Powieki jak prześcieradła rozwieszane na polu
wiosennym wiatrem. Ukrywają niebezpieczne skojarzenia.

Do 16 płyną słowa, obrazy bez ram, okna bez framug, pomieszczenia
bez drzwi. Czasem ciekną jak żółta gęsta woda po awarii, czasem
potykają się o spojrzenie kogoś na sali.

Po 16 krzesła się wychładzają jak beczynne ręce.
Cierpienie które nikogo nie obchodzi jak guma pod ławką zostaje
do jutra.
Bezpieczna cisza wypełnia gabinet, nie jest ani mądra ani głupia.
Gęsty,
ciemnobrązowy zapach zaburzeń rozrzedza się jak palona brzoza.

Milena Gojny-Zbierowska
Chorzów, wyróżnienie

Terapia par

Jadą na identyfikację zwłok miłości. W samochodzie unosi się jej zapach. Mikro cząsteczki wpadają do nozdrzy osiadając na rzęskach jak ustępująca porankowi mgła jesienią na górskich kosodrzewinach. Bottega Veneta mogłaby nawet i zelżyć nim dojadą, ale cisza między nimi nie pozwala na cyrkulację

powietrza. Jedyny ruch to ruch powiek zwilżających niespiesznie wypalone od smutku gałki. Nawet ich serca boją się bić by nie zwrócić na siebie uwagi. Uprawiają sztukę separacji w teatrze rozczarowania. Rezerwat, a oni bez ochrony przed sobą nawzajem. A przecież każda cisza krzyczy o czymś innym. Może być trzema

krzyżami wbitymi w ziemię jeszcze niespojoną krwią. Przyzwoleniem na bycie czyjaś czarno białą kliszą, skapitulowanym męstwem, kłykiem spajającym oczekiwania z rozczarowaniem. Rezygnacją z patrzenia w tym samym kierunku. Zakłopotaniem gdy nie można powiedzieć ja ciebie też. Jadą w próżniowej ciszy.

Maciej Gardziejewski
Warszawa, wyróżnienie

Dąb

Jak daleko sięgam korzeniami
Ziemia nigdy mnie nie zawiodła

Słońce zachodziło
Deszcze ustawały
Wiatry cichły

A ziemia – Nigdy
Buk mi świadkiem.

Maciej Gardziejewski
Warszawa, wyróżnienie

Niedziela

Śmierć lubi drzemać na zakręcie
Wśród pól dojrzewającego zboża
Cicho pusto żywego ducha

Wiatr pachnący rosołem

Zasłuchane w bicie dzwonów
Na Anioł Pański
Na środku szosy drzemią dwa jeże.

Maciej Gardziejewski
Warszawa, wyróżnienie

Ulga

Ziemia zadrżała
Eksplozja wstrząsnęła trawami
Życie w promieniu setek milimetrów
Wstrzymało oddech

W szczelinie pękniętej łupiny
Ukazał się owoc
Kasztan

Zwyczajny kasztan!
Westchnieniom ulgi
Co za ulga
Nie było końca.

Janusz Pyziński
Dębica, wyróżnienie

Kody

moja wieś z rozsypanych liter abecadła, próbuje pisać nowy
elementarz, niczym zecer składać sens
kolejnych wyzwania wymazanych z pamięci pejzaży. tuziemiec
wrośnięty w przeszłość jak drzewo
w horyzont, po którym tylko pniak pozostał. i korzenie
zapuszczone w nekropolię cieni najdoskonalszy
obraz przeznaczenia waży każde słowo niczym dłoń diament
ziarna zanim w warkocz skiby długiego
jak ogon pliszki zagonu, wplecie nowe życie. ważące o wiele mniej
niż jeszcze dzisiaj, od kiedy stara
generacja biedy przeniosła się do podziemia. potrzeba deszczu
(oby nie za wiele),i *klimy* od białego
upału jednoczy wszystkie palce w gotyk, i święte obrazki Jana
Nepomucena na żniwnych rozstajach
w podróż doskonałą, dojrzałą do jutra kto będzie pamiętał że tam
mieszkało do wczoraj tu?

kościelna wieża wbita w niebo, jak w bok grot włóczy z
rozebranych stodół, cembrowin studni, bogactw
podziemnych łożysk, w których echo imion skrywa tajemnice
niejednego wiadra, i sąsiedzkich rozmów
o wszystkim i o niczym. przeświadczonych, że wiedzą wszystko,
jak okna widzące niejedno źdźbło,
a nie dostrzegające belki progu, o który potyka się klucz
do pamięci o świetlnych nutach pól, gdzie

skowronek upuszcza strunę, lekką jak piórko na wyściółkę
gniazda. aborygeńska melodia świtu
zanurzonego w chłód rosy ma metafizyczny kolor wieczności,
krótkiej jak bicie dzwonu na poranną
mszę. kamień strzegący miedzy uczy się jeszcze życia, jakby
nie rozumiał mowy gps-a wiodącego
w nowe stary świat, spod szerniałych płotów trosk, ubranych
w pakiet kolorów zapasek, chust

i marzeń o sobotnim fryzjerze. na niedzielę moja wieś
wytatuowana jak śniegi na wiosnę, albo kora
brzozy poznająca grzech po bliznach tłukących się w żebrach
słowem na drogę powrotną. starte
na kurz ścieżki pogubiły wątek ostatniego spaceru pod polny
konfesjonał za kratami drzew,
wymazanych z pola dzisiejszego widzenia. tylko karcze łzawią
żywą wodą życia jak ostatnie expose
spod skowronkowego nieba. unikatowe, dźwiękowe ścieżki
winyłowej płyty zdartej do igły w stogu
siana. szukajcie, a znajdziecie, wierzcie, a będzie wam dane,
jak oddech, ostatni na zrozumienie
różnic pomiędzy tym co było, a co jeszcze jest rzeczywistością
sepiowej fotografii w przestrzeni
weneckiego lustra, gdzie gubi się własne *ja*, i skąd znikają ostatnie
autobusy od *b* do *a*,

i rozkłady jazdy, nieistotne dokąd. ważne kody QR, zapisy
bezmyślności, komfort układanki
jesiennych liści zagnieżdżonych w niemożność. nawias, którego
nie da się odwrócić. znamię
widnokregu z obydwu stron ognia wieczorów i świtów, biegnących
w kierunku łopianów i pokrzyw.

Janusz Pyziński
Dębica, wyróżnienie

Arka

moja wieś wciąż zachodzi w głowę, czy jest jeszcze sobą, czy też
doskonalszą wersją baśni o tysiącu
i jednej nocy, tej spod znaku teraz. spokojna, jak religie wschodu
o los mlecznej drogi nie mającej końca,
wplątanej w wątek horyzontu innym językiem świata,
opowiadającym nieobecność w czasie gęstym od
świerszczy, gdy ślina stygnie w gardle imionami dzieci
z podwórka, bawiących się w klasy. ukryte pod
poduszką skarby w tubkach dropsów, strzegące pamięci
na później, kiedy już starość przełknie gorzki lek
na życie skażone młodością, przypominają tamten zapach
wiedzącej w wiankach macierzanki, i roje
pszczoł spijających z kielichów smolinosów smaki, o jakich dzisiaj
moja wieś już nie śni, tkając z dżdżu
słoneczną kołysankę. rozbite lustro jutra rani skronie szronem,
nimb ego lśni koroną pustego krzesła.

między młotem a kowadłem jest 004 rozpięty ponad czasem
jak pustka nad rozdrożem. urwane ramię
drogowskazu krzyża, na którym pokolenia ptaków wiły gniazda,
uczyły się słów polnego różańca, imion
wiatru i burz, rozmów nad obrusem w kratkę pól. rękopisy
piaszczystych dróg z powidokiem zamazanych
zmrokiem spóźnionych przechodniów, zapisane drobnym
maczkiem kroków, kiedy kawę nocy rozbiela

księżycowy pył, skradający się bezszelestnie po pierwsze, majowe
czereśnie. po gładkiej tafli nieba ktoś
puszcza kaczki meteorów, i odwieczne pytania kim jest ten, co to
robi. jeszcze na progu ostatnie kółko
dymu z dziadkowej fajki, zatoczy historię rzeń i parsknięć
pastwisk pod stogi siana, pachnących tobą
i kochaniem na zawsze. od zawsze byliśmy z sobą, żyjąc obok,
ale zawsze w sobie, nigdy syci siebie.

ja i ty, wiosko moja, ojczysta mowo, kraszona gwarą jak zupa solą.
wykształcona wszechstronnie
w szkole życia pod strzechą, i tej w murach miasta, o którym
zawsze marzyłeś, jak o lepszym świecie,
a świat przyszedł do ciebie uciekając stamtąd. obcy i
niezrozumiały, wulgarny, wypłuty przez rynsztok.
mieszkaliście przez miedzę, nic nie wiedząc o sobie, ale znając
wszystko co pisane w księgach, dopóki
czas nie prześcignął wskazówek zegara, i na monitorach
telefonów, tabletów i telewizorów, zamiast
wcześnie zrobiło się późno. i pusto od ludzi, i głośno od krzyku,
że własnego ciężaru nie udźwignie
ziemia, która miała być lekką i błogosławioną jak cisza po śmierci.
nosisz w oczach zieleni o smaku
piołunu, z obłędem błędu statystycznej próżni po prędkości na szyi
Judasza, wyrzutem pamięci, wrzodem

na sumieniu. kruszeją imiona, kamień na kamieniu, przy kamieniu
kamień. ścieżka wyłożona, położony
asfalt. pod nim nić Ariadny, z nie wiadomo kiedy zgubionego
kłębka. pęka serce dzwonu na rozbitej arce.

Janusz Pyziński
Dębica, wyróżnienie

Rzeczy zagubione

moja wieś jak fitoplankton, wypływa ze starodrzewu, na szerokie
wody młodnika, zabarwiając
horyzont kolorem wypalanych traw, i przestrzeń między gankiem
a lipą czymś, co przypomina
miasto zapachem pośpiechu. wciąż żyje w martwym morzu
marzeń, choć czasy, niczym pogoda,
zmieniały się w kratkę amplitud atawistycznych lęków, napadów
niepewności i pułapek jutra,
w które można wpaść, wyciągając z banku wdowi grosz, na zakup
dobrego pocucia, już po
tamtej stronie sms-a stąd, przeciwległego brzegu egzystencji.
miejsca, gdzie modelowość
chleba, i aksamit malwy, ma posmak sieciowego kupna, i wiązanek
rzucanych przez kuriera.

szybciej niż grzyby po deszczu, wyrastają gniazda niezależności
od nauki krojenia chleba na równe
kromki, i niezalezionych słów wdzięczności dla spalonych
mostów na drogach do tego, co kiedyś
wydawało się ważne. najważniejsze, że teraz powstaje nowy dom,
o zabliźnionych ranach, zastyga
owadem spijającym nektar z kielicha ziemi, nad którym jeszcze
wczoraj pochylały się kłosa, szumną
podzięką za ofiarę łona pod skowronkowym niebem. barwna
mozaika chwil od Zmartwychwstania

do Wszystkich Świętych. liturgia Ostatniej Wieczerzy wpisana
w okrąg czterech pór rozmyślań nad
nigdy nieskończonym ciągiem zdarzeń, na których interpretację
zabrakło miejsca na skali szczerości.

chciała być progiem i klamką, otwartym oknem, wzywającym,
na czas pierogów z truskawkami.
dobrą wrózką na jutro, w przestrzeni między pierwszym
krzykiem, a ostatnim przekopaniem ziemi.
genetyczny dryf nieistotnych spraw, do istoty sprawy, z wyrazem
zdziwienia na twarzy, że tak
szybko wypływały makatki ze wszystkich możliwych odcieni,
a klęczniki pilnujące modlitw,
porosły nieznaną dotąd patyną. stąd bliżej do nieba, i świętego
spokoju kolorowanych dzieciństwem
czarnobiałych zdjęć, najświętszych wtedy chwil, teraz
zamkniętych na strychu. tam jeszcze moja wieś
żyje, oddycha, zdmuchując włosy pajęczyn z twarzy, kurz
z martwej natury rzeczy zagubionych.

Po 33 latach...

Więcej nagród!

W świetnych wierszach **Agaty Oriany Kwahs** z Gdyni ogniskują się motywy najczęściej występujące w tekstach poetek i poetów, którzy zechcieli nadesłać swe prace na konkurs „Exodusu’ 2023”. „Scena biblijna” to utwór, który współczesnym językiem opowiada o mitycznych rodzicach – protoplastach ludzkiego rodu... „Transpozycja mitu sub specie temporis nostri” odbywa się przede wszystkim we współczesnym języku potocznym:

*mógł się domyślić
że Bóg będzie wkurzony
zasady to zasady.
(...)
Dał się wkręcić
bo ona zawsze wiedziała lepiej
i marudnie wierciła dziurę w brzuchu,*

*Poza tym była potulna
uprawiała seks po bożemu
nie kłóciła się
płakała o każdy kuksaniec*

*a jabłko było na promocji
żał nie skorzystać*

Autorka ujawnia, że domniemana Ewa godzi się na dominację męską w hierarchicznym świecie. Na pewno nie jest feministką, która bierze udział w protestach przeciw patriarchalnym władzom. Mało tego. Wygląda na zdeklarowaną masochistkę, która nie woła, lecz *płacze o każdy kuksaniec*.

W utworze Agaty Oriany Kwahs biblijne zdarzenia są opisywane językiem zdystansowanym wobec mitu. Do zaprezentowania współczesnych nietrwałych związków znakomicie nadaje się postać Lilith, pierwsza żona (?) pierwszego człowieka...

*Zapomniał o Lilith
przekonał Stwórcę
że już
że otwarty na nowy związek
że będzie miły i da jej czas.*

Mityczny świat naznaczony jest piętnem dzisiejszych przyzwyczajęń, zasad i upodobań, czego dowodzi nie tylko rozluźnienie związków małżeńskich i... promocyjna cena jabłka. Ludzie na co dzień zapominają o ponadczasowych zasadach i chwytają nadarzające się okazje (z kim uprawiać seks czy gdzie kupić owoc po promocyjnej cenie) wedle własnych życiowych reguł i swoich charakterów. Podczas wypędzenia (*Teraz siedzą nadzy/ na rozstaju*

dróg) nie okazują rozpacz czy żalu jak Adam i Ewa z fresku „Wygnanie z Raju” Masaccia, którym miałem przyjemność delektować się w kaplicy Brancaccich w kościele Santa Maria del Carmine we Florencji. Człowiek naznaczony piętnem współczesności nie przeżywa już takich tragicznych uczuć, jak jeszcze sześć wieków temu. Postać archanioła Michała, strażnika Raju, także nie jest już taka groźna; spogląda na pierwszych ludzi tylko z ironią, nie złością czy odrazą. Wygląda zaledwie tak:

*Ważniak ze skrzydłami
oparty o miecz świetlisty
uśmiecha się ironicznie*

Stary nie dał się ugłaskać.

Groźny w pierwszych wiekach nowej wiary Bóg Ojciec jest zaledwie Starym – postacią zbliżoną raczej do ciepłego ojczulka niż groźnego, wszechmocnego demiurga. Grzech pierworodny nie nosi już swego piętna dla człowieka. Wydaje się, że los człowieczy po grzechu pierworodnym jest teraz otwarty. Życie poza Rajem nie musi wyglądać tak koszmarnie jak onegdaj. Autorka nie sugeruje jednak – jak, gdyż otwarta i nieprzewidywalna jest nasza przyszłość. Wydaje się, że mit „poczęcia” ludzkiego rodu nie jest współczesnemu człowiekowi potrzebny. Autorka dystansuje się od mitu. Czy człowiekowi potrzebne są jeszcze inne mity? Czy są potrzebne do szczęścia?

O tym traktuje drugi tekst gdyńskiej autorki. O ile pierwszy utwór dotyczy mitu religijnego, o tyle drugi nawiązuje do – jeśli można tak rzec – mitu literackiego.

W wierszu pt. „Przedawkowanie” Agaty Oriany Kwahs słyszymy echa Leśmianowego „W malinowym chruśniaku”, w którym *przed ciekawych wzrokiem (...) przez długie godziny*

*Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny./ Palce miałaś na oślep
skrwawione ich sokiem. (...) Gdym wargami wygarniał z podanej mi
dłoni/ Owoce, przepojone wonią twego ciała.*

Gdyńska artystka pióra zrywa już oczywiście z utworem sylabotonicznym i posługuje się wierszem wolnym:

*Trzy krople rozgrzanych poziomek
nie więcej
bo inaczej grozi nam letnie upojenie
chichoty w paprociach
wyżeranie z garści
sok na brodzie*

Co charakterystyczne – język młodopolski zastępuje współczesna potoczna polszczyzna. Na przykład podniosłe wygarnianie owoców z dłoni wargami zastępuje nachalne *wyżeranie z garści*.

Geografia mitu jest również współczesna. Zamiast malin pojawiają się poziomki, zrywanie owoców w chruśniaku zastąpiły *chichoty w paprociach i pokłute igliwem kolana...*

„Zapodziałanie po głowy” przejawia się natomiast w aktualnym anturazju:

*zero zegarka
spóźnienie na spotkania
brak zasięgu
oraz ogólne rozprężenie obyczajów*

Wyrażone nie wprost erotyczne emocje służą artystce pióra do przedstawienia statusu bohaterów: *jesteśmy dorośli/ jak nie wiem co (...)*

Ostatni wers ma jednak wydźwięk ironiczny, gdyż bohaterowie zachowują się podczas upojnego baraszkowania jak dzieci. Ujawniają to m.in.: *chłapanie w strumieniu i pokłute igliwem kolana*

Co ciekawe, ich intymne działania – wyrażone językiem nie tak bardzo „apetycznym” jak w wierszu Bolesława Leśmiana – znajdują wspaniały wyraz w zakończeniu:

*jesteśmy dorośli
jak nie wiem co*

*a jednak nieodpowiedzialnie
przedawkowaliśmy szczęście.*

Uroczą wydaje mi się owa nieodpowiedzialność w kontekście przedawkowania, jakby szczęście można było przedawkować, *wyżerając z garści więcej niż... trzy krople rozgrzanych poziomek.*

Po językowo-uczuciowej korespondencji z Leśmianem autorka znajduje oryginalny wyraz dla końcowej frazy, wolny już zupełnie od literackich konotacji. Łamie czytelnicze oczekiwania, zakładając nie bez kozery, że *przedawkowanie szczęścia* będzie mieć autentyczny, niewymuszony urok.

W obu przytoczonych tekstach autorka sytuuje człowieka w świecie miłości. W obu przypadkach czyni to przy pomocy ucieczki od mitu – religijnego czy literackiego. W trzecim utworze jawi się jako „Obywatelka”, czyli najmniejsza część społeczności. Gdy jednak ucieczka od mitu religijnego czy literackiego – i de facto osobistego – jest możliwa, ucieczka od roli obywatelki już nie! Niestety, wobec władzy jednostka jest nikim:

*walczę, chociaż częściej uciekam
behawioralnie zaprojektowana
do przeżycia w niesprzyjającym środowisku*

Ratunkiem przed „niesprzyjającym środowiskiem” wydaje się konformizm. Jest on opisany w duchu Bertolda Brechta, który mawiał, że jeśli wrzucimy konformistę do kałuży, to wyrosną mu płetwy. W jej tekście także

*czasem wyrastają mi płetwy gdy oglądam palce
a wtedy niezdarnie pływam w morzu opinii
innych człekokształtnych*

Człowiek współczesny, jak się wydaje, jest traktowany jak istoty człekokształtne zaledwie, czyli raczej mały niż ludzie, i nie ma żadnej możliwości „wybicia się na niepodległość”. Nawet gdy sarkastycznie – jak w piosence Kazika o prezesie partii do niedawna rządzącej – uważa, że jego *strach jest lepszy niż strach delfinów lub wieloryba*, gdyż

można go zapędzić na plac i poszczuć psami.

Gdyńska autorka ujawnia, że współczesny człowiek nie ma szans w starciu z maszyną władzy nawet jako konformista:

*zostanę rybą o srebrnych łuskach, (...)
nie wypłynę na szerokie wody, zasnę w mule tego co znam
ja obywatelka i niechciana siostra Wielkiego Brata.*

Orwell w czystej postaci... Trzeba jednak zdać sobie sprawę, w jakich czasach gdyńska autorka pisała ten wiersz. Był to okres rządów partii, która ma w nazwie prawo i sprawiedliwość. Ciekawe, czy i dzisiaj jej spojrzenie na naszą rzeczywistość społeczno-polityczną byłoby podobne?

Marta Bocek z Czeskiego Cieszyńska, podobnie jak koleżanka po piórze z Gdyni, doskonali swoją – jeśli można tak powiedzieć – erotyczną literackość. Wciela się w postać męża, który pragnie, aby żona poetka przynajmniej na jakiś czas oddaliła się od roli artystki pióra i przypomniła sobie o małżeńskich obowiązkach. Marta Bocek robi to z takim wieloznacznym wdziękiem, że nie wiadomo, czy chodzi o obowiązki kulinarne, czy erotyczne! Oto jej krótki wiersz pt. „Małżeństwo”

*Na litość boską,
poetko od siedmiu metafor,
poeto z kulawym porównaniem,
postaw mocny przecinek i chodź,
bom głodny,
dodaj chrzanu i pieprzu,
o tu, mocniej,
rozpuść natchnienie jak masło, bom zły i głodny,
i taka lepka bądź żoną, skończ pisanie,
tańcz kroplami oleju, o tu, na moim języku.*

Artystka pióra z Zaolzia robi stałe postępy, co mnie bardzo cieszy. Mogę coś na ten temat powiedzieć, gdyż – jako recenzent – byłem przy narodzinach jej pierwszego tomiku poetyckiego „Na tchnienie” wydanego w 2011 r. przez Kongres Polaków w Republice Czeskiej.

Janusza Koryla z Rzeszowa pamiętam jeszcze z lat 80., gdy również pisywał udane wiersze na exodusowe konkursy. Forma poetycka się nie zmienia. Nadal w jego poezji – jak w wierszu pt. „Przeprowadzka” – dominują delikatne metafory:

*Moja ojczyzna traci siły i pamięć.
Z trudem powłóczy słowami,
które przestały cokolwiek oznaczać.*

W tak spersonifikowanej ojczyźnie nie można już żyć. W przeciwieństwie jednak do tragicznej wizji Agaty Oriany Kwahs, porównującej nasz kraj do świata Orwella, z którego nie ma wyjścia, Janusz Koryl widzi światełko w tunelu. Niestety, ono też ma wymiar ironiczny. Autor powiada bowiem: *Mam dosyć jej wiecznych pretensji i intryg./ Brzydzą mnie jej oskarżenia/ o brak patriotyzmu.*

Dla rzeszowskiego autora jest znów tylko jedno rozwiązanie, jak w czasie stanu wojennego:

*Pora zmienić ojczyznę.
Na mniej zużytą i bardziej wyrozumiałą.
Zwłaszcza w chwilach słabości.
Spakowałem do torby
wszystkie swoje wspomnienia.
Wciąż jednak nie wiem,
co zabrać ze sobą, a co zostawić.
Czego żałować, a na co machnąć ręką.*

Duchowe rozterki dotyczące dobrych chwil w ojczyźnie nie zaspobiegają jednak dążeniom do emigracji:

*Moja ojczyzna próbuje mnie
w sobie zatrzymać, ale jest już za późno
na spokojny sen i na miłość
do grobowej deski.
Pora odetchnąć innym powietrzem.
Z dala od słów wypełnionych nocą.
Z dala od szczęku skrzyżowanych mieczy.*

Plemienna wojna, którą zafundowały nam władze, jest zbyt trudna do zniesienia. Rzeszowski poeta widzi więc ratunek tylko w emigracji. Wiersz pt. „Przeprowadzka” mimo wszystko nosi jednak ostatni

ślad optymizmu. Ostatni z nadesłanych tekstów już tego ostatniego śladu nie ujawnia. Wygląda na to, że Janusz Koryl napisał utwór pt. „Rehabilitacja” ku przestrodze. Co się stanie, jeśli nie wyjedziemy z naszej ukochanej ojczyzny? Czeką już na nas stos?

*Moje grzechy są ciężkie i niewybaczalne.
Nie brałem udziału w lekcjach dobrych manier.
Drwiłem z moralistów od siedmiu boleści.
Gardziłem radami pokątnych proroków.
Ukrywałem w słowach największe tęsknoty.
Dzieliłem na czworo każdy siwy włos.
Starałem się znaleźć odpowiedź na wszystko.
Czytałem „Mein Kampf” i „Dzieła” Lenina.
Przegrałem w pokera klucz do swego domu.
Chodziłem na skróty własnymi ścieżkami.*

*Stoję teraz przy stosie świadomy wyroku
i czekam na ogień.*

O opuszczeniu ojczyzny myśli również bohaterka poematu **We-roniki Bieli** z Poznania. Autorka zastanawia się jednak, co dałby jej tego rodzaju wyjazd:

*czy trafiłabym do właściwego państwa?/ czy nie przekroczyła-
bym granic zamkniętego miasta?/ czy na ślepej ulicy ujrzałabym ten
dom,/ w który wbudowany jest jeden nasz pokój,
za który się zabijamy?*

Być może życie poza ojczyzną jest jeszcze gorsze od – jakby powiedział Zbigniew Herbert – „codziennej makabry” w Polsce?!

Obraz niezwykle ponurej rzeczywistości dotyczy nie tylko czasów współczesnych. Ma on swoje jeszcze dużo bardziej tragiczne i potworne konotacje w przeszłości, gdyż w konkursie „Exodusu”

sprawdziło się to, czego doświadczałem jako juror Ogólnopolskiego Przeglądu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „Lipa”, który od 40 lat organizuje Spółdzielnia Mieszkaniowa „Złote Łany” w Bielsku-Białej. Od kilkunastu lat bowiem mamy do czynienia z początkowo dla mnie niezwykle zjawiskiem. Zwiększa się ilość tekstów, których głównym motywem są okropności II wojny światowej. Mogę nawet zaryzykować twierdzenie, że im więcej czasu mija od roku 1945, tym bardziej przybywa tekstów o wojnie. Są to głównie utwory prozatorskie. Konkurs „Exodus ‘23” dowiódł, iż sporo jest także dzieł poetyckich, napisanych, jak mi nie mam, przez autorów w różnym wieku. Jednym z najbardziej charakterystycznych przykładów jest twórczość **Piotra Macierzyńskiego**. Łódzki autor posiłkuje się biblijnym mitem, aby zarzucić samemu Bogu brak empatii. Ba – zarzuca Bogu nawet sprawczość tego, co nieludzkie – zarówno w starożytności, jak i w XX wieku. Wykorzystuje bowiem tutaj starotestamentową opowieść o Hiobie i łączy ją z faszyzmem.

*czy to Ty prowadzisz nas do gazu
wiemy co wyczyniałeś z niewinnym Hiobem
czy ktoś z nas jest od niego lepszy
czy można za niedoważanie mąki
karać tak surowo
i pozostać sprawiedliwym*

*przecież wygubiłeś dzieci Hioba
nie licząc wielbłądów i osłów
powiedziałeś sprawdzam
dla zabawy by popisać się przed szatanem*

*czy jesteśmy wybrakowaną partią pajacyków
wycofaną z obiegu
bo feler kłuje Cię w oczy*

Hiob mówił

On i prawym zamknie usta, mam słuszość, a winnym mnie uzna.

Przerażające jest to, co powiada łódzki twórca wiersza bez tytułu:

*największa podłość ratuje życie
syn bije ojca
potem stary umiera
i kapo żąda nowej zabawy
życie bliskich warte jest miskę wodnistej zupy
och gdyby chociaż z dna kotła
można byłoby to zrozumieć*

Do jakich podłości bywał zmuszany człowiek głodny, że sarkazm ostatnich dwu wersów brzmi jak najbardziej groźna przestroga. Przypomnę, co o głodzie pisał Tadeusz Borowski: – *Głód jest wtedy prawdziwy, jeżeli człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia*. Wzrost liczby wierszy poświęconych okrucieństwom II wojny światowej stanowi zapewne memento dla współczesności, w której zwiększa się nie tylko liczba zbrojnych konfliktów, lecz także aktów ludobójstwa, notabene między innymi przy naszej granicy.

Inny wiersz bez tytułu Piotra Macierzyńskiego zacytuję w całości. Jest bowiem przykładem utworu pozbawionego metafor, opartego na zestawieniach, jakby wyszedł spod pióra takich mistrzów amerykańskiej poezji, jak William Carlos Williams czy Ezra Loomis Pound. Jego wartość polega na sarkazmie, który wiąże się z uspokojeniem esesmana na widok niemowlęcych trupów. Oto wstrząsające okrucieństwo wiersza i... maestria pointy:

* * *

*noworodki mogły być przydatne do eksperymentów
jako kapo kostnicy miałem za zadanie
zanieść żeńskie ciała
na obóz kobiecy
żeby w ewidencji się zgadzało
długie numery były tatuowane na nóżkach*

*gdy tak sobie szedłem
zastąpił mi drogę esesman
myślał że szmugluję
ale uspokoił się
gdy w worku znalazł same trupy*

Wiersze pisane „ku przestrodze” nie noszą tylko znamion „anty-reżimowych” – wojennych czy współczesnych. Znana artystka pióra z Łazisk Górnych **Zuzanna Truchlewska** tym razem nie przysłała moich ulubionych haiku pisanych w śląskiej gwarze, których jest absolutną mistrzynią. Wybrała nieco dłuższą formę, w której czuje się już chyba nieco gorzej. Mimo to jej „przestroga” robi także wrażenie. Groźny dla człowieka może być nie tylko drugi człowiek, który ma władzę, ale także ten, który działa lekkomyślnie. Tak przynajmniej interpretuję jej wiersz pt. „pokład 509”.

*rwij
targej w pierony!
wrywaj do końca*

*w dolnym pokładzie
ktoś podkłada trotyl
nagle zapala się lont*

*czuję jak eksploduje
serce
ta cholerna czarna bryła*

Siła pointy w wierszu Zuzanny Truchlewskiej tkwi w utożsamieniu czarnej bryły węgla i serca górnika czy nawet kogoś z jego rodziny lub najbliższych. Autorka z Łazisk Górnych napisała sporo tekstów poetyckich poświęconych górnictwu czy w ogóle przemysłowi i pracy człowieka. Wydawać by się mogło, że spod jej pióra powinny wychodzić same „produkcyjniaki” – jak w czasach dominacji realizmu socjalistycznego w literaturze. Na szczęście obawy są w jej przypadku płonne. Zawsze bowiem znajdzie się w jej tekstach jakiś rys indywidualny, fragment świata pełen zadumy i zdumienia.

Indywidualny wyraz sprzeciwu wobec traktowania niewiast i w ogóle losu kobiet w naszej rzeczywistości można dostrzec w wierszach **Julii Zmarzlik** z Chróściny nieopodal Opola. Tekst pt. „Podołek pełen popiołu” jest jednym z wielu wierszy nadesłanych na konkurs, w których dominuje poetycka groteska:

*Zbieram ziarnka grochu w podołek.
Są okrągłe i mienią się w palcach.*

*Jeśli rozgniotę jedno – poleje się krew.
Jeśli rozgniotę drugie – dostanę pozew.
Jeśli rozgniotę trzecie – zamkną mnie w więzieniu.*

*Za czwarte przewidziana szubienica
z napisem: wyrodna matka.*

Gradacja kar, które mogą spotkać bohaterkę dzieła Julii Zmarzlik za niewspółmierne wobec nich przewiny, demaskują system

prawny dominujący w naszej rzeczywistości. Groteska jest dobrą formą dezaprobaty. Stawia bowiem nasz świat w zdecydowanie niekorzystnym świetle. Jeszcze bardziej oskarżycielski charakter ma utwór Julii Zmarzlik pt. „Cykl ciążowy”. Prezentuje bowiem reakcję społeczności na gwałt:

*Zbieram owoce przestępstwa
kwaśne jak nadmorskie deszcze.
Możliwość macierzyństwa
staje mi w gardle jak orzech
– musi być świeże i pierwsze –
Jeśli usłyszysz znajome chluśnięcie o sterylną i pachnącą
domestosem
ceramikę*

*to wiedz, że losy się wąż
i że trwa to około dwóch minut.*

Autorka nie daje gotowej recepty na to, jak zachować się wobec tak okrutnego występku. Tym bardziej odwołuje się do czytelniczego sumienia.

Przepełniony niepokojem wydaje się także wiersz **Bogdana Nowickiego** ze Świątchłowic pt. „Wniebowzięta”. Tekst jest wieloznaczny. Nie wiadomo, czy utwór zaczyna się autentyczną pożogą, czy pożarem dziejów?

*Ogień przerzuca się z krzesła na krzesło, pęka opoka,
machając gołymi nogami, deszcz siąpi, aby nawilżyć
zwęglone korzenie.*

*Drżą lampy dawno zgaszone, choć trawy pienia się,
przestępując progi wieczoru.*

Dwie ostatnie zwrotki nie pozostawiają złudzeń:

*Szyby nastawiają ucha, żyrandol porasta burą sierścią,
za rogiem ciężarówki wiozą transparenty, włosy,
zęby.*

*Na pluszowym kamieniu stoją buciki dziecięce – i to
jest wniebowzięcie.*

Sugestia, iż dziecięce buciki świadczą o tym, że dziecko... wyrwano z butów, w kontekście włosów i zębów na ciężarówkach, wydaje się, niestety, okrutną rzeczywistością. Nawet żyrandol upodabnia się do jakiegoś dzikiego zwierzęcia. Świętochłowski autor sytuuje się więc w pobliżu tekstów Piotra Macierzyńskiego z Łodzi. Śląski poeta w ten subtelny sposób skonstrastował łagodność świata dziecka z domniemaną tragedią i okrucieństwem dorosłych – najprawdopodobniej faszystów.

Realny niepokój maluje na swym lirycznym obrazku **Maciej Gardziejewski** z Warszawy.

Oto jego utwór pt. „Niedziela”:

*Śmierć lubi drzemać na zakręcie
Wśród pól dojrzewającego zboża
Cicho pusto żywego ducha*

Wiatr pachnący rosołem

*Zasłuchane w bicie dzwonów
Na Anioł Pański
Na środku szosy drzemią dwa jeże.*

O ile Bogdan Nowicki opowiada o tym, co złego najpewniej się stało z dziecięcym bohaterem jego wiersza, o tyle Maciej Gardziejewski przewiduje, jaką tragedią zakończy się Anioł Pański. Tym razem nie chodzi o człowieka, lecz bogu ducha winne zwierzątka.

Wiele znakomitych tekstów, które nadesłano na konkurs „Exodus ‘23”, ma ponure konotacje. Życie – najwyraźniej – współczesnych autorów nie rozpieszcza. Jeśli jednak ponura jest poetycka rzeczywistość, trudno się temu dziwić. Z drugiej strony twórcy literatury mogą widzieć świat w ciemnych barwach ze względu na swoją nadwrażliwość. Mogą także celowo tworzyć swe okrutne wizje, aby przestrzec współbraci przed niebezpieczeństwami naszego żywota, zwłaszcza społecznego. I chwała im za to! Aby jednak nie kończyć tak smutno, pragnę zacytować jeszcze inny wiersz Macieja Gardziejewskiego, który dostrzega wartości nie w świecie społecznym, ale w naturze. Skoro ludzie nie mogą być dobrzy – wartości przechowuje przyroda. Oto jego dzieło pt. „Dąb”:

*Jak daleko sięgam korzeniami
Ziemia nigdy mnie nie zawiodła*

*Słońce zachodziło
Deszcze ustawały
Wiatry cichły*

*A ziemia – Nigdy
Buk mi świadkiem.*

Wiersz urzeka prostotą personifikacji i homonimiczną dwuznacznością w poincie. Czy trzeba czegoś więcej, aby stworzyć dobry utwór?

Drodzy „Exodusowi” Poeci. Wydaje mi się, że już sam powyższy przegląd wierszy ujawnił, jak dobry był poziom Waszych prac nadesłanych na konkurs. Okropnie żałowałem, że nie można było uhonorować większą liczbę uczestników. Literatura nie jest bowiem wyścigiem arabskich koni czy rosyjskich chartów. Nie jest także biegiem lekkoatletów na długim czy nawet krótkim dystansie. Zwłaszcza poezja jest niewymierna. Jak bowiem ocenić haiku, epigramat czy aforyzm w kontekście epickiego poematu czy dłuższej prozy poetyckiej? Nagradzać genialny skrót myślowy czy nobliwą, wymagającą wytrwałości i daru kompozycji dłuższą formę epicką? Dlatego mniemam, iż gdybyśmy uhonorowali 30 czy 40 autorów równorzędnymi nagrodami, byłoby to bardziej sprawiedliwe niż honorowanie w tym czy każdym innym konkursie trzema różnymi nagrodami i trzema wyróżnieniami najlepszych uczestników. Boleję nad tym, że tak trudno znaleźć sponsorów, którzy zapewniliby solidne, równorzędne nagrody dla kilkudziesięciu poetek i poetów. Mam nadzieję, że organizatorzy konkursu nie będą ustawać w działaniach, aby znaleźć jeszcze nieco więcej grosza pozwalającego na uhonorowanie większej grupy znakomych autorów.

JAN PICHETA

A gdyby werdykt
był inny?

Barbara Waldowska
Kędzierówka

Smutna ogrodniczka

Jest sobie 2023 i co on oznacza
dla mnie
żyjącej w Polsce
z wysoką wrażliwością
z niewielką działką

oznacza to mniej więcej tyle
że dbam o siebie wysiewając ziarno
i moje szczęście objawia się epizodycznie

epizodami tymi jest obserwowanie
jak kiełkuje i wschodzi
jak kwitnie
a kompost dodaje głębokiej czerni glebie

to szczęście jest kruche
bo w cieniu wojny
jest Polska 2023
a ja mam wysoką wrażliwość

I tyle ile mnie dotknie zniszczenie i śmierć
tyle muszę zbudować i dać życie
tyle ile mnie znokautuje zło i pożoga
tyle posadzę, podleję i dobrem obdarzę

złamał mi serce świat

cóż pozostaje
pęknięte serce łatam
karmiąc się
zieloną, dziką energią
wzrostu i życia
w cieniu wojny

taka ze mnie
smutna ogrodniczka

Barbara Waldowska
Kędzierówka

Cztery piętra, człowieku

Niewiarygodne, człowieku
posiadasz niewielki sześcian
i go spłaszczasz do łysa
życie sobie spłaszczasz

u mnie nie ma pustej podłogi

są cztery piętra życia
w parterze szalwia
mrówcze cywilizacje wymyślają piramidy
w nocy tupta jeź

na pierwszym piętrze niskorosłe krzewy
karłowate pomidorki
nieudane sadzonki,
bo u mnie roślina nie musi karmić

na drugim – taniec pszczoł i motyli
pyłku w dyniowych kwiatach jest tyle, że to nie taniec a kąpiel

na trzecim falujące kłosa traw
na czwartym maleńkie choinki
ukorzeniają się w swoim tempie
odratowane ze śmietnika po świętach

tu jest soczyście
to pulsuje
kipi aż wdzięczność że można
aż na czterech piętrach
na niewielkim areale
bomba życia
która życie moje własne
czyni trójwymiarowym

czy przeczyta pan mój wiersz panie Olku?
gdy już pan nawodni swój perwersyjny krótkowłosey dywan?
Ostatnio jak pan zagadał, nie wiedziałam, jak to panu powiedzieć.

(Sąsiadka sobie skosi, bo to się rozsiejie i wtedy będzie!)

Barbara Waldowska
Kędzierówka

Nie dla mnie dom pracy twórczej, nie dla mnie

ależ ja się zgodzę, że na sztukę trzeba czasu!
namysłu, wglądu
sanatoriów

ależ ja mam!
wielką trudność, mój boże,
bo skąd skupienie i łączność
w huk, bałaganie i przygotowywaniu posiłków?

ależ ja sama powątpiewam w „coś więcej”!
w praktyce robienia tego samego
– zabiegów
higienicznych, wychowawczych i utrzymujących przy życiu

A jeśli już coś się uda
– gdy znajdę dobrą myśl i rym mi zamigocze
zaraz woła o siebie bezlitosny w kwestii posiadania całej uwagi
– przypalający się naleśnik

w środku frazy mnie budzi płacz i skargi
ściągają mnie jak latawca
dzieciące rączki
ich usta układają się w „mamo”
a ja słyszę głos „tu masz być, tu”

I w takich warunkach powstaje moja sztuka
gdzieś nawet nie u styku poezji i codzienności
ale w miejscach pęknięć
w wyrwanych dla siebie kilku minutach
z pomiędzy czegoś zwyczajnego
i czegoś bieżącego

wolałabym korespondować nieśpiesznie
z równie nieśpiesznym adoratorem-poetą
on u wód, ja w górach
profilaktycznie spacerując w tężniach
fantazjując o spotkaniu na równoległych naszemu światu niwach
wdychając jod

ale skoro się nie da, nie będę rezygnować
ani czekać na ciszę ani na wakacje

a to dlatego, że o ile dobrze rozumiem poezję
z jej pragnieniem nieustającego inkludowania
znajdowania punktów wspólnych i historii styku
myślę, że życzyłaby sobie

aby parali się nią także zarobieni, niedospani i wielodzietni



Rys. Aleksander Nowacki

Jakub Wasilewski

Koło

każda myśl o tobie jest jak blask we mgle*

zegar wybija wpół do ciebie, więc próbuję nauczyć się wydawać
z siebie ciszę, zagłuszyć nią zgiełk ukorzeniających się w łonie
wioski

żdźbeł trawy i kakofonię towarzyszącą nieproszonej samotności.

nadjeziorna noc łapie niewyraźne myśli w żagle, budząc sny ze snu.
sięgam nimi poza znany mi horyzont – tam, gdzie zieleń lasu
opiera się

o ściany rodzinnego domu, a dzień wypełnia aromatem ciepłej
szarlotki.

ziemia okryta delikatną pierzyną mgły kładzie się pod nogami
niczym

najwierniejszy pies. nadstawiam uszu, by się upewnić, czy nic
nie szczeka.

uwrześniony krajobraz ścieli się kolorytem jesieni. skrapla się
chłodny

poranek. zrywam kwiaty – pachną twoją obecnością. twój niegdyś cień
kładzie się na wybujałej trawie. wspomnienia o tobie unoszą się na
motyliach skrzydłach. nie opędzam się, by cię nie rozproszyć.

** Cytat z piosenki „Skrzydlaty koń”
– słowa: A. Nowak, muzyka: A. Skorupka*

Marta Bocek
Czeski Cieszyn

Małżeństwo

Na litość boską,
poetko od siedmiu metafor,
poeto z kulawym porównaniem,
postaw mocny przecinek i chodź,
bom głodny,
dodaj chrzanu i pieprzu,
o tu, mocniej,
rozpuść natchnienie jak masło, bom zły i głodny,
i taka lepka bądź żoną, skończ pisanie,
tańcz kroplami oleju, o tu, na moim języku.

Marta Bocek
Czeski Cieszyn

Stodola

Deski przybite do pejzażu rodzą pędy pajęczyn i siana.
Wchodzę, światło wpuszcza warkocze w ciemne,
ostre od słomy, zapomniane w połyskliwym kurzu.
Dawne ślady pracy obcują z moim oddechem.

Wiem, że kiedyś runie dachówka, a czas
zakłęty w słojach drewna myszy rozniosą po kątach.
Samosiejki brzóz, leszczyny, gruszy dziczki
przerwą więzy zamkniętego w bryle powietrza.

Na razie głośno się śmieję, oni tu są, tu,
na chybotliwym wozie, oblepieni sierpnem,
pewnie władają widłami, rzucając bele słomy
na próchniejące piętra, przedsionki, komory.

Marta Bocek
Czeski Cieszyn

Okna

Ścierka w gorącej wodzie.
Szyba jest gładka, dobrze się ją głaszcze.
To ważne, aby paznokciami dociskać tam, gdzie szklana
rogówka
przechodzi w plastikową framugę.
Można wtedy wybierać czarne rzęsy
naniesione przez muchy i pająki.

Czasem pojawi się jakiś – wtedy szepce się przeprosiny,
jak zwykle niewystarczające, a potem przechodzi się
do porządku dziennego:
biel framug, przezroczystość szkła,
jakie to wszystko jasne i zrozumiałe.

Niewiele jest przyjemności takich jak przejrzenie szyb
na oczy, usunięcie kleistego tuszu
pobliskiej huty.

Niewiele jest spraw w życiu,
które można umyć tak zupełnie
jak okna.

Tadeusz Knyziak 'Coobus'

Warszawa

Wraz z tobą odeszły książki

myślałem że to ty odeszłaś
a wraz z tobą książki kwiaty muzyka
teraz wiem że to one odeszły
a przy tej okazji
i ty

poza tym nic nowego
wiara w czyściec
schody w górę do piekła
i te w dół do nieba

w chaosie czasoprzestrzeni
wiecznym strachu ognia przed wodą
i wody przed ogniem
wciąż bronię się przed upadkiem

dobrze się domyślasz
książki kwiaty i muzyka wróciły
one tak

w mojej jesieni
w której orzech sam szuka
wartej grzechu wiewiórki
pobudzone kasztany pytają
o Plac Pigalle
a sny kąpią się w fontannie di Trevi

mgłą jesteś
a chwilami słonym deszczem

*Tadeusz Knyziak 'Coobus'**Warszawa***Dziecko pyta**

Dziecko pyta, ojciec odpowiada.

Nie, diabeł nie skrywa się pod skorupą ziemi.

Człowiek nigdy go tam nie spotkał. A aniołów
nie zobaczysz w błękitnej czasoprzestrzeni.

Nie wierzysz, spytaj ptaka. Dobre i złe duchy
wolą kryć się w człowieku, zmuszonym pomieścić
w sobie wszystko. Nawet jeśli ugina się i przewraca
pod ich ciężarem.

Dziecko słucha, ojciec odpowiada.

Nie, diabłu nie uda się nigdy zjechać w ludzkim wnętrzu
pod ziemię. Człowiek zostawia go na powierzchni, zjeżdża
tam bez niego, takie to już górnicze prawa i cnoty.

Po powrocie siada z nim przy kuflu piwa, ale myślami jest
gdzie indziej. Przy gorącym talerzu, jakim wita go zawsze
w domu anioł. Przy małych aniołeczkach, wieszających się
na szyi, gdy pojawia się w drzwiach.

Dziecko zasypia. Ojciec wciąż odpowiada.

Oprócz diabłów i aniołów w ludziach są jeszcze kwiaty,
muzyka, drzewa, kościelne dzwony, chleb posmarowany
masłem, skowyt do księżycy i wiersze. Wszystko co kochamy
i czego się boimy. Pytania bez odpowiedzi i odpowiedzi,
do których nie wymyślono pytań. Powracają wiosennym
kwiatem jabłoni, osiadają rosą, unoszą się ptakami,
dogasają cmentarnym zniczem.

Dziecko zasnęło. Ojciec zasnął.

Pytania nigdy nie zasypiają.

Tadeusz Knyziak 'Coobus'

Warszawa

Ścieżki Hadesu Wyżnego

Tamtą ścieżkę w Komańczy nazywam w myślach szlakiem białym. Nie ma znaczenia, że wytoczyła ją czarna sutanna, brewiarz, różaniec i poczucie godności kapłana. Rozmawiał sam ze sobą, ale jeszcze z Kimś Ponad. Cierpliwe kamienie skupiły milczenie na nadziei. Inne szlaki wzdłuż bieszczadzkiego Styksu, mijając przyczajony za wiaduktem nazaretański klasztor, schylają głowy. To właśnie tu ludzie przyjeżdżają od lat po sens życia i nadzieję. Wielobarwna szarfa turystycznych szlaków osiada na rozrzuconych krzyżach i nieistniejących już wioskach po których pozostały tylko nazwy.

Szlak czerwony styka się z niebieskim, zielonym i żółtym. Zaczyna się w Komańczy. W milczeniu mija wrośnięte w ziemię wyrzuszenia. Przystaje co jakiś czas. Przegląda się w duszatyńskich lustrach, rusza w stronę Przybyszowa, jednej z bieszczadzkich dusz pozbawionych ciała. Szlak niebieski, przechodząc przez Czeremchę, też już nie pyta o ludzi i domy. Nieco dalej Zubeńsko, Balnica, Łopienka, Skorodne i kilkadziesiąt innych nazw, którym towarzyszą już tylko omszałe resztki cegieł.

W ciasnej klasztornej izbie pozostał brewiarz i i różaniec.
Tamten kapłan odchodząc, wziął ze sobą okruszki prawdy
i nadzieję, by móc je rozsypywać w dalszej drodze jak ziarno,
które dziobiemy z wiarą, że nie zatraciliśmy jeszcze skrzydeł.
Że nie pojawią się już więcej dusze pozbawione ciał, ani bezcielesne
nazwy wsi. Że nadzieję można przechować nawet w najmniejszej
izdebce, byleby tylko serce zachowało pojemność walizki.



Rys. Aleksander Nowacki

Agnieszka Rautman-Szczepańska
Sztokholm

Czas

chodzi za mną jak stalker
i natrętnie szepcze
cyk cyk

uciekam przed nim
ale
sił w nogach
coraz mniej

podąża za mną krok w krok
i przedrzeźnia tik tak
skracając dystans
i oddech

a kysz kukułko

dyskretnie zmienia mi ciało
złowieszczo rzucając uroki
zmarszczki i siwe włosy

pieprzony magik
niech go szlag

nie można go przyłapać
na gorącym uczynku

ujawnia się dopiero
na zdjęciach
i płytach nagrobnych

Agnieszka Rautman-Szczepańska
Sztokholm

Teatr

laleczki tańczą
w pożyczonych płaszczykach

jakiś psychopata
pociąga za sznurki
a marionetki wierzą
że to bóg

od zarania dziejów
farsa nie schodzi z afisza
bo reżyser bawi się doskonale
choć aktorom jakoś nie do śmiechu

kukły wierzą w
życie pozakulisowe
niebo
piekło
i inne scenografie

swoje kostiumy traktują jak szmaty
a czas jak iluzję

tylko że

łzy w tym teatrze
bolą naprawdę

a w klepsydrze zamiast piasku
przelewa się krew

Agnieszka Rautman-Szczepańska
Sztokholm

Kołowrotek

bawimy się krótką niteczką
wczepiamy paznokcie
by o jeden oddech dłużej
powiewać na wietrze

kręć się kręć wrzeczono
kalecząc nam palce do krwi

jeszcze jeden skurcz
puk puk
serce to czy śmierć?

pryska wątła nić
w matowych źrenicach
milkną iluzje

wstydz się boże
wstydz

*Maciej Henryk Modzelewski**Warszawa***powrót**

z szelestem słów wspartych na stropie słonecznym
z gradem śmiechu pachnącym dżemem z mirabelek
za lasem nad strugą przy drodze albo i nie
stały nowe starością stare nowością domy dache chałupy
gdzie przeżyły grzbiety zaczytane książki księgi
z pożółkłymi stronami tajemnych sznurów liter i znaków

śmierć podeszła o świcie czkała cierpieniem dymem pożogą
ostatnią kołysankę ryczały samoloty harde
bielmo z płonących domów zawisło na oku przestrzeni
ktoś zginął na miejscu rozkrzyczało się piekło na ziemi
polny anioł z osmalonymi skrzydłami zapłakał
podeptane życie przez jadem syczące kamienie

powrócić wrócić odwrócić bieg czasu wytrwale śmiało
nad pustką zapłakać nie płakać gdy serce zadrży powstrzymać
posłuszny stół na czterech nogach ustawić pod ocalałym drzewem
w piachu na drodze odnaleźć swoje ziarenko szczęścia
dyndająca rynna nie leje łez lecz chichocze pluszcze
komin odnajdzie swój dym drzwi otworzą się na oścież

horyzont krwi zamalować musującym różowym winem
ręką narysować źrenice gwiazd na ciężkiej kapie nieba
na drzwiach do nowego świata przybić podkowy szczęścia
krople łez pochować na starym cmentarzu obok bliskich
w połamane życie marzeń nawrzucać przywołać spokojny sen
sumienie odpowie dopowie podpowie i znów zacząć tu żyć

Maciej Henryk Modzelewski
Warszawa

ptaki

zasnęły w polu słomiane anioły przykryte latem
i rżyskiem. wieś kołysze się w skrzydłach ptaków,
snopami zakwitają ścierniska. ludzie szepczą pacierze.
godziny lata pulsują czerwonym słońcem

w koszyku wszechświata. dziadek rozciera kłosa w dłoni,
wydmuchuje plewy. pozłota ziaren w promieniach dzwoni.
kronika rytuału zasypiania posypuje przestrzeń
deszczem ciemności, cisza poluje na piski puszczyka

albo nietoperza. płaszczy się trójwymiarowość,
pęcznieje wilgoć i chłód. ktoś rzuca piaskiem w półprzymknięte
oczy wsi. zastygło na grzbiecie księżyca echo
srebrnym paciorkiem. uparte krople rosy chichotały,

nawlekał je czas bez cieni, wiązka nieśmiałego światła
wyważyła drzwi nocy. płały minuty ranka, piały koguty
rozśpiewując gardła. stada snów za płotami zbierają się
do odlotu, zawisają jak jerzyki nad lasem i nad łąką.

Maciej Henryk Modzelewski
Warszawa

budzenie się

kolejny promień wyciąga minuty poranka
kolumna mrówek przeszła skórą ramion
na rozbielonej tarninie zakołysały się wróble
kot leżący na parapecie szarość rozścielił

skomlą drzwi zamknięte skoblem
zardzewiały czas wciąż tu tkwi świdruje kornikiem
echem niesie się jego robota – chrobotanie
stary stół chce znów obudzić się do życia

rozwlekła noc dźwiga na garbie plamy ciemności
rozwodnionej już jak denaturat
skaleczony hałasem sen cofnął rękę
choć chciał zostać w kokonie półjawy półsnu

rozsypać strach koszmaru dręczącego istnienia
odnaleźć ćmę trzepoczącą na szynach wieczoru
bezdome okna cicho o północy zasnęły
czasem świecą kurzem starej stęsknionej chałupy

na płótnie poranka wiatr spadochronem zapachu zadrżał
dłoń owinięta pierwszym jabłkiem w uroszonym sadzie
czas pikujący na makami zapaloną łąkę
meandruje lekko spłoszony brzeg strumienia

blaszany garnek łąsi się łagodnie wygiętym uchem
kuchnia na okrągło fajerkami czerni rozpalony obraz
usłyszeć tupotanie na starej drewnianej podłodze
dach nie będzie już samotny komin siwy dym ułoży



Rys. Aleksander Nowacki

Julia Zmarzlik
Chróścina

Cykl ciążyowy

6:56 Test ciążyowy

Wenera tu nic nie pomoże.
Zbieram owoce przestępstwa
kwaśne jak nadmorskie deszcze.
Możliwość macierzyństwa
staje mi w gardle jak orzech
– musi być świeże i pierwsze –
Jeśli usłyszysz znajome chluśnięcie o sterylną i pachnącą
domestosem
ceramikę

to wiedz, że losy się ważą
i że trwa to około dwóch minut.

Julia Zmarzlik
Chróścina

Podolek pełen popiołu

Zbieram ziarnka grochu w podolek.
Są okrągłe i mienia się w palcach.

Jeśli rozgniotę jedno – poleje się krew.
Jeśli rozgniotę drugie – dostanę pozew.
Jeśli rozgniotę trzecie – zamkną mnie w więzieniu.

Za czwarte przewidziana szubienica
z napisem: wyrodna matka.

Julia Zmarzlik
Chróścina

* * *

Długa szrama
Przedziela mój sufit
Na północ i południe.

Co trzyma piętnaście pięter nade mną?
Cienka biała ściana
Niby nośna.

Pęknięcie na pozór nieszkodliwe
Linia życia – ukośna.

Janusz Koryl
Rzeszów

Okoliczności

Chrzczyny, komunie, wesela i stypy.
Odpowiednio wczesna rezerwacja czasu.
W karcie dań rosół z orła i karp po żydowsku.
Atmosfera miła i nieskrępowana.
Rodzinne sekrety spuszczone ze smyczy.
Swobodna rozmowa o grzechach młodości.
Cykuta podana w białych filiżankach.
Brzęk naczyń krwionośnych dochodzący z kuchni.
Sowite napiwki. Tradycyjne smaki.
Serca oblewane gorzką czekoladą.
Chrzczyny, komunie, wesela i stypy.
Kolejność wydarzeń nieobowiązkowa.

Janusz Koryl
Rzeszów

Przeprowadzka

Pora zmienić ojczyznę.
Na mniej zużytą i bardziej wyrozumiałą.
Zwłaszcza w chwilach słabości.
Spakowałem do torby
wszystkie swoje wspomnienia.
Wciąż jednak nie wiem,
co zabrać ze sobą, a co zostawić.
Czego żałować, a na co machnąć ręką.
Moja ojczyzna traci siły i pamięć.
Z trudem powłóczy słowami,
które przestały cokolwiek oznaczać.
Mam dosyć jej wiecznych pretensji i intryg.
Brzydzą mnie jej oskarżenia
o brak patriotyzmu i małżeńską zdradę.
Dlatego podjąłem taką a nie inną decyzję.
W oczekiwaniu na środek transportu
czytam wiersze Szymborskiej i Bursy.
Moja ojczyzna próbuje mnie
w sobie zatrzymać, ale jest już za późno
na spokojny sen i na miłość
do grobowej deski.
Pora odetchnąć innym powietrzem.
Z dala od słów wypełnionych nocą.
Z dala od szczęku skrzyżowanych mieczy.

Janusz Koryl
Rzeszów

Rehabilitacja

Moje grzechy są ciężkie i niewybaczalne.
Nie brałem udziału w lekcjach dobrych manier.
Drwiłem z moralistów od siedmiu boleści.
Gardziłem radami pokątnych proroków.
Ukrywałem w słowach największe tęsknoty.
Dzieliłem na czworo każdy siwy włos.
Starałem się znaleźć odpowiedź na wszystko.
Czytałem „Mein Kampf” i „Dzieła” Lenina.
Przegrałem w pokera klucz do swego domu.
Chodziłem na skróty własnymi ścieżkami.

Stoję teraz przy stosie świadomy wyroku
i czekam na ogień.

Piotr Zemanek
Bielsko-Biała

Stany osobliwe

Selekcja negatywna

gasisz ekran. boimy się stąpać po kruchym lodzie. to tylko rozmowa
ale mogło by się wydarzyć coś naprawdę. przykładam ucho do tafli,
nasłuchuję ciemnej wody, uderza w lód jak krew w pancerz skóry.
papier namaka i wysycha. wiersze to już historia, wsiąkasz w prozę.
odwracam się od zgaszonych okien, a wszystkie obrazy idą za mną.

była we mnie latarnia, jak ty zabłysła światłem, którego nie znałem.
ono mnie odmieniło. długo patrzyłem w jego białe źródło, żeby w nie
uwierzyć. był we mnie nowy świt. teraz wracam do starych lamp,
żeby się znów do niego zbliżyć, poczuć tamtą przestrzeń, chwilę.

kiedyś otwierałaś każdą wiadomość z lękiem, bojąc się słów, które
mogłyby zamknąć drzwi. teraz zamknęłaś książkę bez zakładki –
wiersz nie będzie już kołem ratunkowym. mówisz, że potrzebujesz
czasu, żeby poskładać klocki, złożyć układankę emocji, poczekać
co się zdarzy. patrz, zegar stoi – najwyraźniej wybaczył ci ten błąd.

Piotr Zemanek
Bielsko-Biała

Osobliwości

otwierałem twoje usta językiem. był jak klucz do wierszy
czekających we mnie. miękkich wodowań statków w cichej
zatoce i koralowych jaskiń, w których można je usłyszeć.
odkąd stoję na brzegu, przysłuchują mi się flanelowe słowa.

żeby lirycznie nagie zabrzmiały jak aksamit, potrzebne są
dwa ciała. jedno musi być głodem a drugie zwątpieniem.
znam takie słowa, płynęły rzeką, teraz trafiły na kamień.
bezsłowny, uśmierca je robiąc reset niedosłownych relacji.

żeby słowa stały się ciałem, trzeba zanurzyć w nim język.
niech stanie się strumieniem – kamień obejmą ciche wody.
wtedy popłynę przez nie w cielesny opór warg, z nadzieją
wkładając szorstkie głązy pod skórę. powierzając je rzece.



Rys. Aleksander Nowacki

Wiktor Mazurkiewicz
Elbląg

Chleb powszedni

to przez czterdziestopięcioletnią
i bezlitosną niemoc o tysiącu twarzy

makijaż – już nie pastelowy
a ciepły czuły pocałunek
w niemówiące usta
i smutne policzki

nie bawełniane majtki z koronką
a pieluchomajtki na rzepy

kreacja wieczorowa?
koszula nocna
z westchnieniem na dobry sen

od czasu do czasu
pogoda i skromny uśmiech
– jakby nie miało być jutra

i nadzieja
że jutra nie będzie

Wiktor Mazurkiewicz
Elbląg

Taki starzec Zosima

Marność nad marnościami i wszystko marność

– tak mówi Kohelet

*Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie,
dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic...*

– tak napisał Norwid.

Powiedz, który z nich ma rację?

Starzec po długiej zadumie:

– Norwid rozświecił tylko dwa szczegóły
w tej wiecznej pogoni za wiatrem.

Wiktor Mazurkiewicz
Elbląg

Sierpniowy epizod z akcentem

tam – dostatek
z nadmiaru bliski groźnego żywiołu

tu – od wielu tygodni – osowiałość
kolory wyblakłe
nawet biel nieco bielsza

aż wreszcie
od rana chmury
o zmierzchu pierwszy szelest
pierwszy świeży zapach ziemi

natężenie rosło
szum zagłuszał na Youtube
Marlene Dietrich – *Einen Koffer in Berlin**
– lubię tego słuchać –
(tato rodowity berlińczyk)

najgłośniej grały blaszane parapety
i liście podokiennej zieleni
w życiodajnych strugach
wplecione nuty – ciepłe lekkie

gdy natura zamilkła
wróciłem do kilkuletniego Pawełka
z Antonienstr. 42

* *Walizka w Berlinie*

*Weronika Biela**Poznań*

Manifest przedednia

jest takie dzisiaj, które pamiętamy wyłącznie dzięki jutru
a ja zawsze pragnęłam je spętać i żyć w nim po cichu
by mój brzask nigdy nie miał sposobności
przerodzić się we wrzask
przemieszczałam się między przededniami
rozmawiałam z moimi maturalnymi kolegami
na obozie harcerskim w sierpniu 1939 roku,
muskani promieniami, skąpani w szkliscie powłóczystym wietrze,
ostatnie dni ostatniego lata naszej młodości pędzą w bezpędzie
od kiedy stałam przed diabelskim młynem w Prypeciu
minęło więcej niż ćwierć, a mniej niż pół wieku
lizak z kwiatkiem w epicentrum z masy kadmowej
w dłoni oranżada o smaku gumy berylowej
w jugosłowiańskiej Srebrenicy piłam pigwową rakiję
a w 2010 roku odwiedziłam syryjską Palmirę
w 2009 roku rozmawiałam z Lechem Kaczyńskim
o skradzionym księżycu na gruzińskim niebie,
i kupiłam bilet, by zobaczyć Michaela Jacksona
na londyńskiej scenie w O2 arenie
w plecaku z logiem Ery przemierzałam podmiejskie strefy
Magik doznał szoku w dwutysięcznym roku,
gdy ja szukałam nowojorskich bogów i widoków,
stałam na Północnej Wieży
i na szczycie World Trade Center
myślałam, co nam przyniesie nowe tysiąclecie
Polsko kochana, żal odjechać – rzekł w ostatniej polskiej pielgrzymce

a babcia powtarzała, że papieskie ręce drgały już w męce
a były to moje lata dziecięce
i nie rozumiałam tej chwili, bo jedynie gumy turbo były dla mnie święte
po EURO 2012 oczekiwaliśmy na lotnisku w Doniecku
i rozmawiałam z Sashą o ulotności momentów
a w 2014 roku dziadek pod blokiem mówił, że rzuca palenie
bo przypomina mu ono codzienne samospalenie
gdzieś na fundamentach przeszłości mieszkał pokój
i gdybym opuściła teraz moje codzienne posady
w poszukiwaniu tej zagubionej osady starej daty
czy trafiłabym do właściwego państwa?
czy nie przekroczyłabym granic zamkniętego miasta?
czy na ślepej ulicy ujrzałabym ten dom,
w który wbudowany jest jeden nasz pokój,
za który się zabijamy?
jak daleko jesteś zakopany,
skoro od początku czasów wciąż cię szukamy
kiedyś napiszę mój ostatni wiersz
i ostatni raz ujrzę mych przyjaciół,
gdy organizować będziemy
spontaniczny wypad w Bieszczady
i w przeddzień mego końca powiem,
że wracam do poezji i że mam plany
jak pogodzić się z Bogiem i z tatą
a mój syn odpowie, że
Jezus Chrystus nie żyje od 2 tys. lat,
a tata od nie mniej niż ćwierć wieku,
a ja że nigdy nie jest za późno, by zbawić świat
bądź wybaczyć siedem ojcowskich zrad,
mój synu, spotkamy się wkrótce
za nie więcej niż piętnaście lat

Weronika Biela
Poznań

Weronika

Nie będziesz mieć cudzych Bogów przede mną
a ja miałam i nie potrafiłam z nimi walczyć
i oni zwykli mi mówić, że ludzie tworzą bogów, gdyż są tchórzami
że ludzie boją się bogów i świadomości ich braku
że ludzie boją się śmierci i ludzie boją się przeżywać swe życie
że ludzie boją się miłości i życia w samotności,
że ludzie boją się słów i tego, co może pozostać niewypowiedziane,
że ludzie potrafią żyć, umierać, kochać, nienawidzić,
a postanawiają się bać,
więc postanowiłam dłużej nie bać się żyć,
więc postanowiłam dłużej nie umierać za strach
więc postanowiłam dłużej nie kochać strachu
gdyż nienawidziłam bać się tych cudzych ludzi,
którzy kazali mi się nazywać bogami

Moje słowa były wcześniej jedynie wynikiem sekcji zwłok
moich własnych myśli, a twoje słowa zadawały mi śmierć
Każdy człowiek jest wyspecjalizowany
w głupocie, którą kocha najbardziej,
(a ja najbardziej kochałam Ciebie)
i każdy jest poniekąd geniuszem
i patriarchą w swym osobistym niebie
poniektórym dane jest
należać do tego świata
niezapisana karta, tabula rasa

czy pozwoliłbyś, żeby me słowa atramentowe
spowiły twą niezmaconą głowę?
czy pozwoliłbyś mi być nieprzepisowym zagranem
w twojej grze w zamknięte karty
czy nie miałbyś nic przeciwko, gdybym była
Twym głupcem i moim geniuszem
Twym Jezusem i moim Krezusem
Twym plusem i moim minusem
Znając mnie, nie rozpoznałabym
ani obcego, ani swego,
Znając mnie, nie znasz już dłużej niczego.

Zwykłam wierzyć, że moja mama pokocha mnie,
gdy znajdę słowa odpowiednio zbliżone
do USG bicia mego siedmiotygodniowego serca
Zwykłam wierzyć, że mój tata mnie pokocha,
gdy powiem mu, że nie kocham mojej mamy
tylko żeby przekonać się, że miłość moich rodziców
brzmiała zawsze, lecz w dźwięku milczenia

Znienawidziłam bycie człowiekiem-Atlasem podtrzymującym
na swych barkach globus własnego niepokuszonego umysłu
Moja dziedzina? Gdzieś w linii prostej od zera,
Moja wartość? gdzieś na osi y, w zasięgu nieskończoności
zaś moja przyczyna? to niewiadoma
więc pytaj Boga, nie mnie, o to równanie
bez liczb, znaków i liter
ten odczyta ostatni wyraz ciągu nieskończonego
i słowo stanie się ciałem i zamieszka w przerwie między literami
Gdy Pan jest ze mną nie lękam się wcale, cóż może uczynić mi
człowiek?

Zwykłam wierzyć, że jedynie trwam z dnia na dzień,
i postanowiłam przestać się bać i uczynić z mego trwania życie

*Weronika Biela**Poznań*

Nasz radosny spleen

dla Agaty

turbulentna sekwencja wypowiedzanych kwestii
bolesna próba tłumienia młodzieńczych agresji
wdech, wydech – oddycham podobnie jak umieram – pomału
w tłoczonym wyścigu o życie nie błądz spętany w strachu
żar tętniącego światła oblewa mą zastygłą twarz w zimnym pocie
moje szklane kości uginają się we frenetycznym ryzykownym zwrocie
moja głowa roztrzaskuje się o heban parkietu w jej nagłym zawrocie
manualna obsługa narządów wewnętrznych,
przepływ myśli i słów na autopilocie
czy zyskując na powrót zmysły, tracę siebie?
W następujących seriach mych przemian zawsze miałam Ciebie
kafkowskie metamorfozy, zbrukane beznadzieją kompozycje
wygrywane przez harfy w mej głowie, rozgrzana aparatura pomiarowa
dla wszystkich chorób mego serca
Ty jedna rozpraszasz głosy
rozdzierające i świdrujące me tętno
zdejmujesz z mej skóry turyńskich płócien piętno
jesteś arkadią, ciepłym spojrzeniem
nanoszącym parę na zaszronione okna
życzliwego szczepu ludzi pochodna
nie z krwi, a z ducha siostra
narkotycznie uzależniający tryb codzienności,
przez którą stąpam znieczulana Twą aspiryną
Ps 23,4 Chociażbym chodził ciemną doliną,
zła się nie ulękne,
bo Ty jesteś ze mną.



Rys. Aleksander Nowacki

Marek Otwinowski
Wrocław

Wypas

najgorsze wiersze to te bez dobranych
słówek w korcu maku z mozołem uczucia
które na złamanie karku rozpędzone stają
owczarnia ugrzęzła a noc idzie zimna

nad pastwiska myśli z widokiem na przestrzał,
do których się tęskni śledząc ogłoszenia
od tanich do starych, którym się udało
zwieść bezpiecznie stada do stodółek wersów

gna pies błyskawiczny na złodzieja czasu
– pogubione słowa trzęsą się i mdleją
gdy już utkną cicho w hipokampie lasu
stygnąc bez nadziei w najgorsze zdrętwieją

Marek Otwinowski
Wrocław

Przedział

najgorsze wiersze to te wyświetlone
przejazdem pośpiesznym we framudze okna
nienazwane w porę, wiecznie pominięte
szkoły z cegły, pola, las, cysterny z Pilzna

puste torowiska złożone na kościach,
miejsca straceń w olchach, brzegi rzek, ruiny,
światła wspomagania dla konnych z legendy,
semafory smutku, krucyfiksy błędów

dróżniczych i w podróż zabranych ze sobą
– głowie dwa mrugnięcia co najwyżej zajmie
myśl w intencji widma, póki w kadrze z drogą
nie zjawią się czarne kombajnowe armie

Marek Otwinowski
Wrocław

Ogród

najgorsze wiersze to takie, którymi
pryska się w ogrodzie likwidując mszyce
i te jednodniowe, ledwo żywe myśli:
cierpki smak na dobre przylgnie do języka

zbitą somą pigwy, jagodzianek, jeżyn;
pogrzeb ciał szkodników na sorbetach z wiśni
nie przyniesie ulgi rozgrzanej młodzieży
– też się nie dowiedzą skąd i po co przyszli

żółw zachodu słońca pożarł już sałatę
krwistość malin znikła w szarzejącej porze
szcerniał ażur krzewu pod płaszczyzny blatem
ogród czeka noc gęsta, zima i buldożer

Jadwiga Gala
Świdnica

Licencja

Za jedyne 49,90 PLN możesz stać się
właścicielem „Autoportretu w futrze.”
200 igieł utka, z precyzją godną mistrza,
twarz Dürera w formie skarpet
z domieszką elastanu.

Poranna kawa przypomni ci,
że nic dwa razy się nie zdarzy.
Wszystko dzięki białemu kubkowi z dużym uchem.
Bawełniana torba z cytatem Szymborskiej
sprawdzi się w drodze po zakupy.

W malinowym chruśniaku
znajdziesz się w mig.
Wystarczy zapalić świecę zapachową.
Płonie nawet do czterdziestu godzin,
ku pamięci wiersza Leśmiana.

Jak chcesz rzucić się w odmęty,
to tylko w szortach do kąpieli
z nadrukiem „Ogrodu Rozkoszy Ziemskich”
Jheronimusa Boscha,
(ponoć materiał nigdy nie blaknie).

A ja tym wierszem
odbieram wam, kimkolwiek jesteście,
licencję na zabijanie
sztuki.

Jadwiga Gala
Świdnica

Ja Urojona

*„A ja jestem urojona.
urojona nic do wiary,
urojona aż do krwi” ... Wisława Szymborska*

Jedna piąta sekundy wystarczyła do zakochania.
Potem ubierałam cię w słowa,
ty rozbierałeś mnie niecierpliwie.
Przestrzeń do życia zamknęliśmy w uścisku,
Posiadacze jednego łóżka, okna bez widoku,
z drżącymi szybami, przez które napływało
światło księżyca, omywające stopy, nanoszące muszle,
sypiące bursztynowy piasek w oczy.

Nie mogłam zasnąć.
Pilnowałam twoich butów, zostawionych na brzegu.
Czekałam, aż się obudzisz.
Znów narysujesz dla mnie dzień.

Lubię jak o świcie,
w nieważkości wciąż płyniemy,
odwróceniu plecami do ziemi,

Pamiętaj by jutro przynieść pęk piwonii,
żebyś mogła wykąpać się w ich zapachu.
Ja dla ciebie przygnę najcięższą gałąź w jabłoniowym sadzie,
gdzie palce jesieni już dotykają naszych głów.
Ja jestem urojona, czysta jak liczba.
Ty – ostoja rzeczywistości.
Co zrobisz beze mnie, gdy napotkasz
nierozwiązywalne równanie?

Nie chcę patrzeć, jak osobno płyniemy,
nie trzymając się za ręce, ku ziemi.

Jadwiga Gala
Świdnica

Nieśmiałość drzew

Znam to milczenie, jest jak mróz,
jak on iskrzy, rozcina białe koperty,
ze słów usypuje głębokie zaspy,
Nigdy nie czyta listów do siebie.
Unika podawania ręki, tłumacząc się
nieśmiałością, jak u drzew, tak gościnnych
dla ptaków, siebie trzymających na dystans.

Mam wrażenie, że liczy ile haustów
zaczerpnęłam już z zielonych filiżanek,
kalkuluje, czy to starczy by przetrwać,
kolejną nadchodzącą zimę.
Wciąż, w bliżej nieokreśloną przyszłość,
odsuwa narodziny wiosny.
Wszak nas na nią nie stać.

W takim razie możemy pominąć także i lato.
Ono było świadkiem jednego z największych
rozzarowań mojego dzieciństwa, autorstwa
chabru bławatka, (zapyłanego przy pomocy motyli,
rozsywanego przez mrówki i wiatr), kiedy to
jego dwadzieścia cztery chromosomy okazały się
przepisem na pospolity chwast.

Tymczasem za pasem jesień,

na nią kładzie się nacisk, ją poważa.
To pora robienia zapasów,
cerowania liści, sznurowania ust,
niezapisywania każdego kroku w chmurze,
z uwagi na zagrożenie
w i e t r z n o ś c i ą.

Donata Witkowska-Kowal
Starachowice

Mariupol

nagie szkielety fabryk
czarne kikuty kominów
nasze miasto po amputacji
siedzimy pod ścianą
liczymy dziury
chcemy odlecieć
jak portowe żurawie
nasze skrzydła są zaspawane
trwamy w hipnozie
liczymy ciała
patrzemy jak Charon
haruje na trzy zmiany



Rys. Aleksander Nowacki

Leszek Wójcik
Lubaczów

Rodzina

Olena jest tutaj
jej rodzina tam
tam i tutaj to dwa różne kosmosy
oddzielone czarną dziurą wojny

Nad Charkowem zapala się łuna
niesie się przez stepy i pola
pierwszy wybuch budzi serce
Olena wstaje przed świtem
chwytą smartfon jak magiczną kulę
żeby ujrzeć w nim jedno słowo
żyjemy

Leszek Wójcik
Lubaczów

Lampedusa

Na Plaży Królików
najpiękniejszej plaży świata
pod lazurem nieba nad lazurem wody
turyści czerpią oddech słońca
wolontariusze pilnują wylęgu żółwi morskich

Na skraju rezerwatu przyrody
morze wypłuło skorupę szalupy

Przy betonowym nabrzeżu
pękate łodzie wysypują ludzi
jak ryby po obfitym poławie

Mężczyźni krzyczą kobieta rodzi
nielegalni ludzie z biletem do raju
za drutem kolczastym

Leszek Wójcik
Lubaczów

Drugi brzeg

Na drugim brzegu rzeki
pada deszcz
dziwne że pada tylko tam

Na drugim brzegu rzeki
człowiek bez parasola
patrzy na mnie przemokniętym wzrokiem
ciało kurczy się w dreszczach
pod witkami starej wierzby

Człowiek na drugim brzegu
nie umie się ogrzać wysuszyć
rozpalić ogniska
tylko bezsilnie patrzy
jak stoję na drugim brzegu rzeki

Małgorzata Jaworska
Mnich

Zezwierzęcenie

Wylosowany został na ubój,
on pośród wielu. Miał straszną misję.
Musiał dokonać teraz wręcz cudu,
by zadowolić wielką komisję.

Jeśli wybiorą jego, nie innych,
bliska rodzina zyska nagrodę.
Ona przeżyje, on będzie słynny.
Uciekł, by zacząć zmieniać się w trzodę.

Najpierw się wyrzekł swego imienia.
Był już po prostu sztuką, towarem.
Okaz nic nie ma do powiedzenia.
Lecz czy komisja da temu wiarę?

Zwierzę nie mówi, mięso nie krzyczy.
Może jedynie kwiczeć, wyć, pisać.
Odciał więc język nożem rzeźniczym.
Pozbył się twarzy. Teraz miał pyszczek.

Jak jeszcze lepiej w zwierza wejść rolę?
Jak prezentować się wyjątkowo?
Wyjąć, wypalił sobie na czole
znak, jaki dawny świat robił krowom.

Choć już zyskiwał zwierza nawyki,
to czy smakował też znakomicie?
Zjadł więc specjalne antybiotyki,
by móc zachwycać na zimnej płycie.

Miał jeszcze siedem dni do uboju.
Kupił niewielką klatkę z metalu
oraz swój przysmak – *snack fingers* w słoju.
Teraz gotowy był w każdym calu.

Słoik postawił gdzieś na widoku.
Zamknął się w klatce. Pozbył się klucza.
Wodził oczami czujnie wciąż wokół.
Słój też spojrzenia czasem mu rzucał.

Gdy skład komisji przyszedł po niego,
wył, warczał, syczał, drapiąc o druty.
Tkwił gdzieś pośrodku snu zwierzęcego.
Chciał ich rozszarpać. Zjeść nawet buty.

Już nie pamiętał nic o uboju.
Oczy miał dzikie, na ciele rany.
Kiedy więc zespół wszedł do pokoju,
zaczął się rzucać o wszystkie ściany.

To było istne mięso ze zwierza,
które zniknęło całkiem ze świata,
i skład komisji wręcz nie dowierzał,
że się odnowić da taka strata!

Pełni radości, sztukę wyjęli,
a gdy porwała słój i uciekła,
zapolowali, potem zarznęli,
do rzeźniczego zawożąc piekła.

Jego rodzinie prócz garści złota
dali też mięso męża i taty.
Tamci, nie wiedząc, zjedli. Pychota!
Jak wołowina, taka sprzed laty!

Zaczął powstawać plan na hodowlę.
Snack fingers, nóżki – wszystko masowo.
Zezwierżenie było cudowne!
Jeść człeka? Ciężko. Zwierzę? Hurtowo!

Małgorzata Jaworska
Mnich

Uczłowieczenie

Mruczek dla Ani był całym światem.
Dbała o niego wręcz z namaszczeniem.
Wszystko zmieniło się, kiedy latem
gdzieś przeczytała to ogłoszenie:

„Twój zwierzak znaczy dla ciebie wiele?
Chcesz, by się człekiem stał do połowy
i mógł prawdziwym być przyjacielem?
Daj mu więc wszczepić czipa do głowy!”

Mruczek jak człowiek w ramach płatności?
Mógłby z nią mówić? Słuchać muzyki?
Ania wyjęła swe oszczędności
i pojechała z nim do kliniki.

Akcja wszczepienia trwała godzinę.
Mruczek miał teraz się uczłowieczać.
Ania otarła mu z pyszczka ślinę,
niosąc w kocyku. Niech się ulecz.

Kiedy nareszcie uniósł powieki
i w jego oczy swoje utkwiła,
aż jej na twarzy wyszły wypieki.
Radość w niepokój się zamieniła.

Mruczek miał ślepie ludzkie, świadome.
Patrzył się na nią z zaciekawieniem.
Ania uznała na krótki moment,
że się w nich kryje znienawidzenie.

Prędko w miseczce chrupki mu dała,
kot jednak warknął na nią powoli.
Długo minęło, nim zrozumiała:
talerz z obiadem go zadowoli!

Kiedy już pojadł z pełną kulturą,
kiełki wyszczerzył, nawet zamruczał!
Ani ulżyło. Prysnał zły urok.
Teraz czas kotka życia nauczać!

Chociaż nie mówił, chłonał jej wiedzę
i wciąż zachwycił ją postępami.
Podczas wieczornych, wspólnych posiedzeń
słuchał jej żali, tulił łapkami.

Ania nie miała nigdy tak jeszcze,
by ktoś był dla niej taki wspaniały!
Cóż tam, że czasem przeszły ją dreszcze,
gdy nocą ślepie ją przeszywały...

Raz jej się zdało, że Mruczek gada!
Czy właśnie mówił do jej smartfona?
Gdy do pokoju wpadła dość błada,
ucho przykładał, lecz... do ogona.

Nocy następnej coś się zdarzyło.
Nagle ujrzała prócz ślepi Mruczka
jeszcze sześć innych. Ktoś nagle siłą
walnął ją w czoło obuchem tłuczka.

Ból ją obudził i groza szczerą.
W głowie się tliła myśl o ucieczce.
Mruczek jej ślinę z ust właśnie ścierał.
„Jedz” – rzekł, podając chrupki w miseczce.

Z każdą sekundą Ani świadomość,
ssana przez czipa, szła w zapomnienie.
Jak kot to zrobił? Cóż, nie wiadomo.
Ponoć przeczytał gdzieś ogłoszenie.

Małgorzata Jaworska
Mnich

Dehumanizacja

Alex do wojska czuł powołanie.
Trzeba się bronić – czasy wątpliwe.
Gdy wyszkolonym wojem się stanie,
wróci pewniejszy, z nowym paliwem.

Tak się złożyło, że go przyjęli
do całkiem nowej, ważnej jednostki.
Włosy zgolone, mundury w bieli,
rękaw obcisły, spodnie do kostki.

Trening od piątej aż do wieczora.
Alex wciąż ćwiczył, strzały oddawał
i chociaż padał, gdy przyszła pora,
rad był, że co dzień rośnie mu wprawa.

Gdy się dowiedział o nowym planie,
nie mógł poradzić sobie z dreszczami.
Nie miał pojęcia, że mordowanie
przyjdzie mu ćwiczyć z androidami.

Bał się niezmiernie, bo te roboty
były najnowszej wręcz generacji-
niemal jak ludzie. Nie miał ochoty
czynić tak chłodnej eksterminacji.

Wszczęli ćwiczenia na poligonie.
Szwadron robotów był dość pokaźny.
Alex, napięty, w samoobronie
strzelił w sześć twarzy, wrogich i strasznych.

Chociaż krzyczały, nie miały ducha.
Łzy były sztuczne, krew podrabiana.
Gdy Alex ujrzał kable w ich brzuchach,
przestał się martwić. Walka udana.

Twarze robotów uległy zmianom.
Widział cywili niosących szable.
„Strzelać we wroga!” – tak mu kazano,
Alex więc strzelał, patrząc na kable.

Przestał przejmować się ich krzykami.
To algorytmy krzyczeć im każą.
Choć tak prawdziwe, są robotami!
Kto by się martwił ich sztuczną twarzą?

Po dwóch miesiącach strzelał w każdego.
Nawet przed dziećmi nie miał oporu.
Nadal podziwiał kunszt robociego,
tak realnego w swym fałszu tworu.

Wreszcie czas przyszedł na test końcowy.
Nocą wysłano ich gdzieś na misję.
Alex był silny. Czuł się gotowy.
Dzisiaj zachwyci swoją komisję.

Plac boju bardzo był autentyczny.
Razem ze swoją grupą żołnierzy
wybił robotów zastęp dość liczny.
Patrzył, jak ciało na ciele leży.

Tylko, cóż... czegoś mu brakowało.
Zajrzał na brzuchy, wejrzał w ich lica...
Nie ma kabelków! To ludzkie ciało!
Chociaż właściwie... co za różnica?

Człowiek czy robot... Oba prawdziwe.
Alex powrócił do swojej bazy.
Test zaliczony. Uczcił to piwem.
Jakie następne będą rozkazy?



Rys. Aleksander Nowacki

Agnieszka Stefanek
Kamieniec Wrocławski

Za rękę

Trzymali się za rękę
gdy świt grzech nocy zasklepiął.

Splatali swoje dłonie
gdy zmrok czarną łapą
pędzącą ziemię przygniatał.

Gdy leżała w tej sali
pamiętam, blada jak płótno
na progu konieczności
z prośbą o doliczenie minut.
Godzin
Lat.
Pieściła nadal jego dłoń.
Wiedziała...
Tylko on ją zatrzyma.

Trzymali się za ręce
gdy ta trzecia
dziurę w niebie
drażyła
sięgając po miłość.

Miała oczy jak kryształ.
I głos
Ach ten głos...

Trzymali się za ręce
gdy wiatr dmuchał zarazą
a deszcz rozmywał marzenia.
Oparci o parapet
nadal głaskali swe dłonie.
Ich myśli wędrowały przez szybę.
Dotykały rąk dzieci ulicy
zagubionych w domach bez ognia.
Pytali.
Kiwali głową.
Nudni parapeciarze
w jasnym domu ciemnego świata.

Zrośnięte ich dłonie już odchodzą w przeszłość.
Drżący i słabi
śnieżną aurą przyprószeni
w tym samym kierunku
idą na palcach
bez śladu na piasku.
Do przodu
Na wieki.
Za rękę.

Agnieszka Stefanek
Kamieniec Wrocławski

Proza

Żona...
nudna figura
w wytartych dresach...

między zupą a kawą z drożdżówką
w prozie życia
ogląda swój życiorys.

Nad jej głową nie latają motyle
dawno zdechły na złotym parapecie.

Jej kobiecość przez czas uwięziona
woła do Ciebie
nieokreślonej Miłości
o znak
że kwiat paproci jeszcze kwitnie dla niej
na końcu świata
w mgle planet i gwiazd
co jak ćmy drżące
szukają słońca w słońcie bezkresnej.

Modlitwy żon
czekają w kolejce...
najpierw mężczyźni, dzieci i starcy...
Smutek kucnął na parapecie.
Ogród nie odpowiada.

Agnieszka Stefanek
Kamieniec Wrocławski

Kobieta

Kobieta
Matka Polka
czeka na progu
z siatami snów niespełnionych...
na męża uschnięte serce
na powrót dzieci
zza lustra fałszywych podróży
na Słowo przy kominku...
dotyk snu
szepty gwiazd
spokój styczniowej nocy
Matka Polka
Czeka nieustannie na progu.

A rzeka za rogiem płynie...

Luiza Wilczyńska
Łódź

Ikar

migruje wraz z ptakami tam gdzie schyłek
zmierzchających bogów
słońce kończy ostatnią wartę
wypalone mruka jak morski horyzont
zanim wpadnie pod powiekę
świata

ustawiony gęsiego kluczy
on już wie że skończy jako przypadkowe studium
upadku
i nie zostawi żadnych słów
żadnego krzyku
pisanego palcem po wodzie
żadnej obecności

szlifowany szkielet
wyrzuci skamielinę na brzeg
jak kukułcze jajo
mitomanów

Luiza Wilczyńska
Łódź

miasteczko

ławka ocieniona ciałem gołębi
powszedni chleb rzucony ptakom pod nogi
obok zapadła kamienica bez perspektyw
właściwych odpowiednim punktom widzenia

dwa sklepy na krzyż obok kościoła
fryzjer kosmetyczka i bar z kebabami
o tym miejscu filmu nikt nie nakręcił
akcja się tu nawet nie dotyczyła

uśpiona niedzielnym popołudniem
przypadkowy przechodzień spadł mi z warkocza
bujając się na pajęczej niteczce włosa
z okna wygląda mężczyzna taksując wzrokiem

nieuchronny dzień
który trwa aż do odwołania
wieczorny Budda spaceruje po jedynym placu
cykliczny jak wskazówka zegara
doprowadzając początek do końca

Luiza Wilczyńska
Łódź

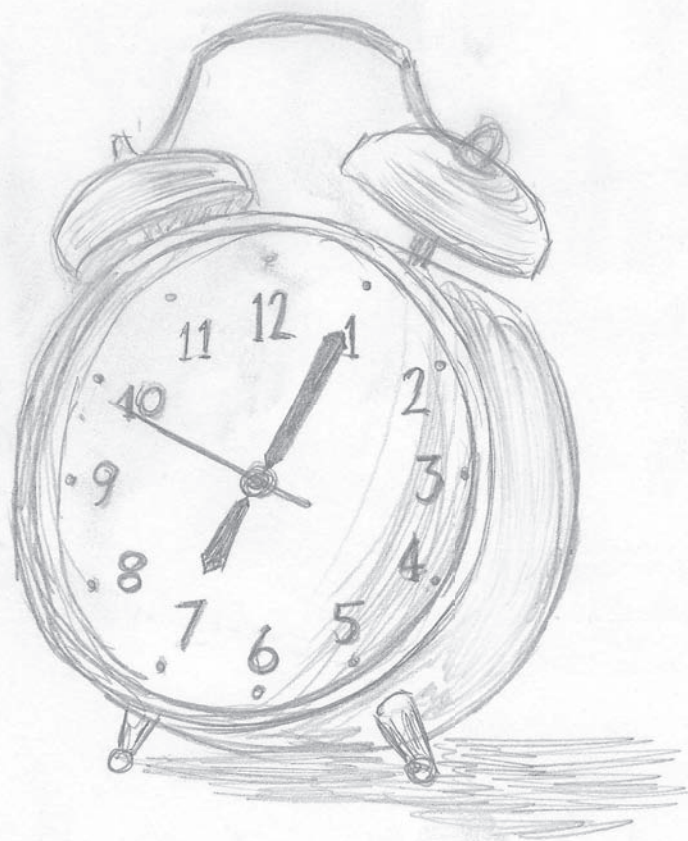
pielgrzym

lisy mają nory a ptaki swe gniazda
bezdomny ma tylko chwilę
by znaleźć dach
pod czapką z pck
i poraniony księżyc
na oknie noclegowni

od świtu podpira ściany kamienic
dźwigając je jak plecak
na pustyni ludnej w obojętnych bogów
jedyne człowiek

jak dziecko któremu przytrafia się
nagła dorosłość
ciężka i nieodwracalna

schody są wystarczająco wysokie by dzielić
bramy strzeżone
mury grube jak skóra garbarza
oczy zawsze w przeciwnym kierunku



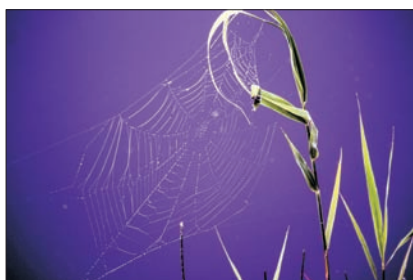
Aleksander Nowacki urodził się 22 marca 1996 roku w Kędzierzynie-Koźlu. W 2023 roku miała miejsce jego debiutancka wystawa malarstwa pt. „Esprit – początek”. Na facebookowym profilu „Aleksander Nowacki – portrety na zamówienie” publikuje malarstwo oraz rysunek swojego autorstwa. Na co dzień inspirowuje go sztuka holenderskich mistrzów malarstwa oraz polskiego międzywojnia.

Salonik poezji i prozy

Bogusława
CHWIERUT



Bogusława Chwierut
– fotografia



Bogusława Chwierut

Poetka urodzona w Czańcu, libiążanka. Niezłomna animatorka kultury, miłośniczka tradycji. Członkini grupy „Cumulus”, Stowarzyszenia Autorów Polskich oraz Grupy Artystycznej „Źródłosłów”. Aktywna uczestniczka wielu internetowych grup poetyckich, a także wielu spotkań poetyckich w Warszawie, Wilnie, Bułgarii i Londynie, Bremovie oraz bywalczyni Festiwalu Poezji Słowiańskiej, który odbywa się w Czechowicach-Dziedzicach, Bielsku-Białej, Krakowie, Cieszynie.

Publikuje na łamach gazety lokalnej, na stronach internetowych oraz w Polskim Radiu Katowice i wszędzie tam, gdzie istnieje potrzeba krzewienia poetyckiej myśli.

Autorka ośmiu tomików wierszy i pięciu prozy.

Ma na swoim literackim koncie także udział w wielu antologiach: religijnych, bajkach dla dzieci oraz zagranicznych. Zdobywczyni wielu nagród i wyróżnień. Jej wiersze są tłumaczone na język angielski, bułgarski, francuski, słowacki i hiszpański. Pomysłodawczyni wieczorów poetyckich z cyklu „Odkurzanie Poezji” oraz ogólnopolskiego konkursu satyrycznego „Satyra Urobkowa”, który odbywa się w Libiążu. Od 2021 roku fotograf amator.

W 2023 roku został wydany album fotograficzny „W czułych spojrzeniach. Gmina Libiąż” przez Urząd Miejski w Libiążu i przez Libiąskie Centrum Kultury, a także została zaprezentowana wystawa fotograficzna związana z tym miastem.

* * *

w stronę słońca
kaskada promieni
z wierzby fioletowej
z zapachem fiołków
tak po bezkres

* * *

błyszczcy rosa jak korale górskiego potoku
skrzeczy bażant
i żaby rechot słycać z oddali

* * *

słońce przysiadło na jedynym drzewie
w chwili odpoczynku spija resztki wody

* * *

w przyrodzie wszystko płynie
tylko ja stoję ciężka od myśli
co dalej

* * *

jak motyl w ogrodzie
rozkoszuję się twoim widokiem
wabiąc cię wzrokiem

* * *

faluje we mnie
jest muzyką
bębni groszkiem o szybę

* * *

liście kruszone przez wiatr
zmieniają kolor
bławatki wśród zbóż

* * *

na drzewie
wiatr szeleści liśćmi
sięgnę po ciebie

* * *

parę słów czeka
cierpliwie w sieci
a czas obiecuje

* * *

w sieci mnożą się
wiadomości
kable tęsknoty
z myślami
że może dziś

* * *

w umyśle
pod wykrochmaloną koszulą
czuję ręce
które mnie rzucą na łóżko

* * *

spoglądam na drzwi
czasem w okno
wyjść
być poza
nim ciało skruszeje

* * *

nić
taniec iskier
w sieci wiatr
pochłonie uczucia
motyla

* * *

każdy dzień
to wielka uczta
głodu

Przedświąteczne

Trawy próbują się przebić przez śnieg.

Zmęczone staraniem kładą swoje suche żdźbła na białym puchu,
który dosypuje się porcjami.

Słońce jak żeglarz po morzu w głuchy dzień, spija porcję
zmrożonego lodu.

Opuszczony ogród traci na wartości chyba, że ktoś ulepi bałwana,
który jak Ikar ugnie się pod promieniami, roztopi swoją głowę
i tułów.

A jutro powstanie z popiołu, triumfalnie.

Śmiech dzieci za oknem, języki zostały rozwiązane, z prędkością
światła dolatują do uszu.

Myśl, że za parę dni będzie inaczej, że śnieg nie doczeka świąt,
jak wielu ludzi, którzy odeszli?

Napawa smutkiem i wszystko nabiera innego sensu.

Żal to huśtawka, po której mogą być konwulsje.

A przecież święta to radość, radość ogólna w cały kraju i
na świecie. Rodzi się człowiek.

Człowiek nie zwyczajny. Ten, który najmocniej pokocha człowieka.

Więcej jak sąsiad, kolega, przyjaciółka.

Jeszcze prószy, choć już wiemy, że nie będzie to wiecznie.

Przeminie, tak samo jak letnie tryumfy, miłości, niezapisane
romanse.

Uchylone okno, przez które wpada rześkie powietrze. Smog
odleciał, ale tylko na chwilę, do wieczora, gdy kominy zaczną
buchać czarnym dymem.

Kalendarz coraz chudszy w zasadzie ma parę kartek, jeszcze nie zapisane, świeże. Jeszcze tyle może się zdarzyć, dobra i zła. Przestrzeń czeka na wypełnienie, tak jak człowiek na inspirację, na podanie dłoni, na uśmiech.

Jeszcze tyle może się zdarzyć.

Drzwi otwarte, może wpadną wnuki i zrobią bałagan i będą biegać jak po szachownicy. Dziewczynki jak królowe wpadną, ze swoją radością, będą śledzić światło i łapać kurz, który unosi się nad parapetem.

Cierpliwe patrzę na rozrzucone zabawki, które w tym czasie nie mają dla nich znaczenia.

Abstrakcja jest piękna jak dzień, który odfruwa.

* * *

W murach szpitala
Gdy za oknami jesienna plucha,
w szpitalnych murach tłoczno.
Sterylne sale, cierpienie, które okrywa się białą kołdrą.

Skłębione powietrze unosi ciche rozmowy o chorobach.
Miażdżycy, nadciśnieniu i bólach reumatycznych.
Z ust do ust przekazywane są porady, recepty i nadzieja.
Pacjenci układają cierpienia w mozaikę, niosąc swój krzyż.

Czas daje szansę słabszym, silniejszym otwiera drzwi.
Na śniadanie, bułka krojona w plastry, masło, pomidor.
Kanaпка przeżuwana z jednej strony na drugą,
zatrzymuje się w suchym gardle.

Gorzka herbata i pieczone jabłko przypomina o sadzie.
Leżą odłogiemy plany na jutro,
jak listopadowe liście nasiąknięte deszczem.

Pielęgniarki spieszą z pokoju do pokoju
z termometrem, ciśnieniomierzem,
jak duchy wychodzą do drzwi bliźniaczo podobnych.
Mrugają z fantazją do pacjentów, jak gwiazdy estradowe.

Co zdrowsi spacerują, w piżamach, szlafrokach,
szurają kapciami o podłogę.

Za oknami uśpione drzewa wbite w ziemię.

Dżdżysty dzień odbija się o szybę.

Smutne światło maluje jesienne cienie.

A ty, nie dzwonisz wkomponowany w ten schemat,
który pochłonał cię zupełnie.

W porze obiadu smakujesz podaną zupę pomidorową.

Miedzy jedną łyżką a drugą, dzień nabiera koloru.

Dobre znaki na niebie i słońce otwiera okno.

Tylko księżyc

Nieruchomieją słone wargi
i dłonie w jednej pozie.
Ciało zwiotczałe,
pobożne w nocnej odświeceniu.

Do snu drzewa kołyszają powieki.
Księżyc zapalił ciemne niebo
a obok mnie puste łóżko z kocem.

Tkwię w swojej skorupie,
siedzę nieruchomo.
Patrzę w sufit i zbieram wspomnienia o tobie.

Letni dzień

Letni dzień wplótł parę maków we włosy.
Wysuszył siano i pranie na sznurze.
Prowokuje, gdy usta niespokojne wiatr owiewa.
Pospiesznie rozbiera się z rosy.

Na drzewach dojrzewają owoce.
Kapią kwiatami lipy popołudniowym zapachem.
Niedługo odpłynie słońce i nastanie wieczór.

Jak to się stało, że cały pachniesz koniczyną,
że uśmiechasz się do mnie bezwstydnie,
prawie doskonały jak ten dzień?

Barwy

Na łąkach, w parkach i sadach
miłości coraz mniej.
Tyle co w dłoni, na ustach.
Pod powiekami jesienny żar.

Żółkną letnie trawy,
Wiatr rozwiewa wspomnienia.
Ostatnie promienie malują obrazy
jak na szkle.

Rude liście kładą się pokotem.
Schną zmęczone kwiaty.
Brązowe kasztany leżą na parapecie.

Miłości coraz mniej.
Tylko palce jeszcze szukają się nawzajem.

Libiąż – moje miasto

Mój dom to małe miasto,
które nocą wyłania się i rośnie
jak podniebna wieża kościoła.

To niespokojna wieża Babel
pochyłająca się raz w jedną to w drugą stronę.

O świetle jaśnieją pola
oplecione Wisłą z widokiem na szczyty gór.

Znikają szare, niepokojące wieże.
Wyłaniają się nietknięte libiąskie krajobrazy.
Ożywają legendy o górnikach, królu węgla.

Stare drzewa jeszcze się zielenią
i jak krzyże w szczerym polu strzegą swoich bohaterów.
Miasto cierpliwych ludzi, budujących przyszłość.

W miodowym gaju

Szelest skrzydeł motyli.
Bzyczenie owadów na lipowym drzewie
jak gwar dzieci biegających za jaszczurką.

Gałęzie od kwiatów kuszą zapachem
i dźwiękiem pszczoł ginących w ich wnętrzach.

Gdyby tak przysiąść obok Kochanowskiego,
poczuć słodycz w ustach.
Być strofą w jego wierszu,
natchnieniem wiosny.

Zasmucone powieki

Nostalgia wypełnione ulice.
Uczuciowy rozgardiasz długiego oczekiwania.
Smutek rozproszony powiewem wiatru.

Ojcze, miałeś nadejść?
Pozostały trudne rozmowy niedokończone,
nadziei płomień pod palcami.

Serce uwięzione przy bramie cmentarza.
Obok muru lipa szumi smutno w takiej chwili.

Czuję ból, gdy niknie światło,
dziwne uczucie odejścia.
Czy chciałbyś mi coś jeszcze powiedzieć?
Czy tylko trwać będzie z nami cisza?

Afrodyta

(fragment prozy „Sezon burz”)

Przemoczona, wyglądała jak bogini. Z jej włosów i rzęs spływały kropelki wody. Stach nie mógł oderwać oczu od jej twarzy. Mokra włosy prześwitywały w półmroku. Błyski światła błyskawic utworzyły wokół niej aurę. Wyglądała zjawiskowo – w tle wieczornego spektaklu za plecami – jak kadr z filmu grozy, a ona – jak nimfa na progu – wystraszona i mokra. Jej oczy błyszcząły, rozszerzone strachem. Odbijała się w nich noc – czarna i niebezpieczna.

– Przepraszam pana bardzo za to wtargnięcie, ale na dworze rozszalała się burza i nie potrafię wrócić do domu – wyszeptała błagalnie. Przelękniona jak mały kociak, patrzyła z prośbą o litość w oczach.

– Mój samochód stoi nieopodal. Zboczyłam z drogi i chyba pogubiłam się całkowicie. Nazywam się Bety Żaczyńska – powiedziała nieśmiało, podając dłoń na powitanie.

– Stanisław Nowak – odpowiedział odruchowo i ukłonił się lekko, równie nieśmiało – jak dziecko.

– Przepraszam panią, ale jestem jeszcze całkowicie rozkojarzony, bo pukanie mnie wybudziło z wieczornej drzemki – odpowiedział, ściskając rękę nieznajomej. Patrzyli na siebie, równie zdziwieni i zaskoczeni całą sytuacją.

– Bety? Co to za imię? – pomyślał Stach – Bożena, Beata, czy może Elżbieta? – Proszę, niech pani wejdzie – dłońią wskazał pokój, który nie przyciągał wszechobecnym bałaganem. Widać było, że tu mieszka samotny mężczyzna – wszędzie porozrzucane ciu-

chy (niekoniecznie czyste), a na stole talerz poSupie. Wszystko to świadczyło, że nie ma tu nikogo innego. Na zewnątrz wichura na dobre już rozpędziła swoje koła zamachowe. Błyski i grzmoty były coraz wyraźniejsze i jaśniejsze, raz po raz oświetlając pokój. Bety weszła, trochę zaniepokojona, jak do jaskini lwa. Obawa przed dalszą jazdą w nawałnicę była jednak silniejsza i była gotowa zostać i przeczekać.

– Może godzina wystarczy? – myślała z nadzieją. – Proszę mi mówić po prostu Bety – zaproponowała z uśmiechem.

– A mnie wołają Stach lub Stan – odpowiedział, lekko się uśmiechając. Nie mógł wciąż się pozbierać po drzemce, która okazała się tak miłą, choć niespełnioną niespodzianką.

– Przepraszam bardzo za bałagan, ale po kolacji został talerz, nim wpadłem zmęczony w ręce Morfeusza. Napije się pani może... to jest napijesz się, Bety (poprawił się), herbaty? – zapytał w końcu.

– Bardzo chętnie – odparła.

– Nie mam jakichś wyszukanych, bo pijam tylko czarną ekspresową w torebce lub liściastą, więc... jaką?

– Ależ proszę. Mnie to nie przeszkadza – może być liściasta.

Oboje, jak dzieci w piaskownicy, mówili sobie uprzejmości, zerkając ukradkiem spod powiek nawzajem w swoje strony. Bety, mimowolnie, kadrowała wzrokiem pokój, który był bardzo skromny: parę żelastw – wałających się na komodzie, jakieś zasuszone już kwiaty i parę fotografii, które przykuły jej uwagę. Bardzo chętnie chciałyby je zobaczyć z bliska, gdyż mogły jej wiele powiedzieć o gospodarzu. Co prawda, na pierwszy rzut oka nic niepokojącego nie zobaczyła, ale była osobą ostrożną w ocenie. Kiedyś kogoś źle oceniła i do dziś uważała to za swoją porażkę – mężczyzna okazał się całkiem inny niż na początku, dlatego teraz starała się być ostrożna. W mgnieniu oka przypomniała sobie Tadeusza. Pamiętała, jak przyszedł na spotkanie w przykrótkich spodniach i w za małej marynarce, a buty miał całkiem zniszczone. Okazało się jednak, że był bardzo inteli-

gentnym i interesującym mężczyzną. Faktem jest, że nic z tego nie wyszło, ale do dziś są przyjaciółmi, a jego zdanie wciąż dla niej jest ważne. Szmer w kuchni utwierdził Bety w przekonaniu, że jest bezpieczna i może z bliska zobaczyć, kim jest gospodarz. Odrapana komoda wyglądała na antyk. Na blacie leżała serweta robiona na szydełku, pokryta kurzem, który aż wbił się w osnowę kordonka. Uwagę Bety przykuło zwłaszcza zdjęcie gospodarza, stojącego nad rzeką. Zadowolenie i duma aż biły mu z oczu, gdy stał z wędką, trzymając jednocześnie dużą rybę w siatce.

To świadczyło, że jego hobby było wędkarstwo. Zaraz obok stała czarno-biała fotografia bardzo szczęśliwej kobiety z małym chłopczykiem obok. Mocno tuliła go do siebie, jakby to miało być ostatni raz. Widać, że czuł się skrzepowany tym okazywaniem czułości. Przez moment Bety wyczuła, jakby miał się zaraz rozpłakać. Ustawiony do fotografii, czuł się jak w klatce. Odruchowo wyciągnęła rękę, by go dotknąć...

– Tak, to moja mama, Maria. Odeszła jakiś czas temu – dopowiedział od razu, stojąc w progu pokoju z herbatą, z której unosił się już w powietrzu zapach suchego siana z nutką goryczki. Dopiero gdy aromat wdarł się głębiej w nozdrza, można było poczuć jeszcze woń goździka i cytryny.

– To moje jedyne jej zdjęcie. Dwa lata temu zmarła na raka i od-tąd już nigdy nie było dobrze – dodał ze smutkiem. – Po niedługim czasie dołączył do niej ojciec... – jego drgający od wzruszenia głos, dowodził, że ta rana wciąż się nie zabiłiła.

Zapadła bardzo krępująca cisza. Herbata nadal parowała, a wiórki zdążyły już opaść na dno – jak płatki przekwitłej róży, które spadają na trawę.

– Jestem kowalem – próbował przerwać milczenie. Uśmiechając się, chciał powiedzieć coś sensownego. – Jestem kowalem – powtórzył. – Pracuję na swoje utrzymanie i czasem też dla swojej przyjemności. Wykuwam takie pamiątki – głównie dla siebie. Cza-

sem ktoś coś zamówi do swojego domu – w ten sposób pragnął rozładować sytuację, by kobieta poczuła się bezpiecznie.

– Ludzie ze wsi bardzo dobrze mnie znają i przynoszą często różne rzeczy do reparacji, bo jestem taką złotą rączką – dopowiedział. – Podkuwam też konie, które zwykle gubią podkowy w polu. Wykonuję różnego rodzaju kraty dla bezpieczeństwa czy uchwyty do skrzyń, obręcze do beczek na kiszonki, lemiesze, sierpy i kosy. A dla zabawy zrobię czasem coś dla siebie.

Równocześnie nieomalże spojrzeli razem na wykute serce, które cierpliwie wyrzeźbił młotem kowalskim. Rozbłysło wręcz pod jej wzrokiem. W dotyku było gładkie jak jedwab.

– Maleńkie, a o tak dużym znaczeniu – pomyślała. Zauważyła także małą figurkę św. Antoniego – mężczyzny z lilią i książką. Zastanawiała się, dlaczego nie ma na jego ręku małego Jezusa. Tuż obok stał posążek potężnej postury mężczyzny, umięśnionego i walecznego – tego znała z mitologii. Przełknęła ślinę, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia, gdy nagle usłyszała:

– To Hefajstos – Stach ubiegł jej pytanie. – Bóg ognia i kowali – dodał dumnie, wskazując na tego kształtnego draba o mięśniach sztangisty. Imponowała jej jego bystrość...

Bety wstrzymała oddech, nigdy nie widziała tak pięknego mężczyzny. Stach przypominał jej tego swojego boskiego opiekuna. Jego muskuły żyły wręcz pod t-shirtem.

– Zapraszam na herbatę – dotknięciem obudził ją z tej fascynacji.

– Bardzo dziękuję – odpowiedziała, usiadłszy za stołem, który był tak normalny, że aż... nienormalny. Pusty talerz, z zaschniętymi resztkami na obrzeżach, świadczył, że obiad musiał smakować. Może to była dokładka do kolacji? Serweta na środku stołu – długo niezmieniana, lecz pięknie się na niej prezentował kolorowy haft – na końcach ozdobiony makami i chabrami, z których gdzieś wyłaniały się główki rumianku. Pomimo że dawno nieprana, serweta zachwycała.

– Brakuje tutaj kobiecej ręki – westchnęła.

– Przepraszam za bałagan. Już sprzątam – szybko zabrał talerz i brudne sztućce. – Ostatnio zaniedbałem dom z powodu intensywnej pracy. Proszę wybaczyć – usprawiedliwiał się.

Na stole została cukiernica z zafryzowanymi kryształami, lecz nie ona sama była tak piękna, tylko koszyczek, w który ją wciśnięto – misterna robota mistrza. Trzy nóżki, wygięte na zewnątrz, a wyżej koronkowa robota jak u złotnika. Widać było, że długie godziny spędzone przy niej dały prawdziwie wyjątkowy efekt. Bety, wpatrzona w to cacko, nie mogła wręcz oderwać od niego wzroku.

– No tak, wiedziałam, że tutaj spotka mnie coś wyjątkowego – szepnęła do siebie w myślach. Misternie wykuta stal zmieniła się w arcydzieło.

– Tak, to też zrobiłem – przerwał ciszę. – To misterna robota. Powiedziałbym, że wręcz dłubanina, ale jak pięknie teraz wygląda – jak ze średniowiecza. Stach zauważył, że Bety jest pod wrażeniem i to aż załaskotało go w piersiach.

– Wreszcie ktoś mnie dostrzegł! – pomyślał. Wreszcie mógł komuś zaimponować! Po cichu marzył, by ten ktoś, zobaczył w nim też mężczyznę.

Partner „Odcieni”



Międzyrzecze Górne 563

tel. 33 496 16 00

okmar.com.pl



**26 października 2023 roku, po spotkaniu autorskim.
Anna Zachurzok i Joanna Sosna wręczyły kwiaty
Tomaszowi Jastrunowi.**



**STOWARZYSZENIE
BEZ LIMITU**